Nr. 33. Lwów, Niedziela dnia 14. Kwietnia 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

Z POWODU ODCZYTOW SPASOWICZA.

W Warszawie zdarzył się, jak to już wszystkim wiadomo, fakt wychodzący daleko po za granice powszedniości...

Przyjechał mąż niepospolitej wiedzy, pełen zasług dla kraju, poświęcający dlań od lat przeszło dwudziestu swą pracę, swe mienie i całą olbrzymią potęgę umysłową, i z katedry wygłosił śmiało i otwarcie swoje poglądy społeczne na nasz stan obecny, wziąwszy za podkład do odczytu, jednę z najsympatyczniejszych postaci naszego parnasu, a pełnych w swoim czasie wpływu. Nie była to krytyka literacko-artystyczna—w pełnem znaczeniu tego słowa — lecz raczej studyum nad pracami wielkiego poety, ze stanowiska socyalnych poglądów, w zastosowaniu do warunków chwili obecnej. Pokazało się, że przekonania krytyka o wiele się różnią od przekonań dotychczasowych matadorów krytyki warszawskiej i powstał wielki alarm na wszystkich punktach. Dotychczas jeszcze Warszawa uspokoić się nie może, i słowa Spasowicza aż do tej chwili w nerwowe drgania wprowadzają ukształconą część społeczeństwa naszego.

Może to co mówił Spasowicz było mylnem, jeśli zapatrywać się na to będziemy z innego niż prelegent stanowiska, jednak musiały to być słowa niepospolite, ciosy wymierzone potężną prawicą, zdania poparte najgłębszem przekonaniem, jeżeli tak ogromnie wstrząsnąć zdołały naszą publicznością, tak stosunkowo apatyczną i tak powierzchownie nieraz rzeczy biorącą, jak tego, niestety, tylokrotne mieliśmy w ostatnich latach dowody.

Przypatrzmy się bliżej temu, co Spasowicz powiedział.

Naprzód oddał hołd bezwarunkowo wielkiemu poecie, jako artyście i jako człowiekowi. Powiada o Polu, że „postać to była piękna, poważna, podniosła, pociągająca wszystkich, którzy mieli szczęście ją poznać, i tak nawskroś polska, że niktby się w nim nie domyślił kropli krwi niemieckiej...“ „Był to mistrz wielkiej ręki, talent oryginalny, silny, niezbyt bogaty w pomysły, bardzo jednostronny, więc nie mogący się liczyć do naczelnych...“ „Przedewszystkiem liryk, Pol wywierał i wywierać będzie czar niezmierny tem, że nikt nie oddał z większą mocą podniosłego pragnienia czegoś wyższego nad poziomą rzeczywistość, śród której zeszedł cały jego żywot, rwania się ku czemuś idealnie doskonalszemu: *excelsior, excelsior!...* „Po usunięciu tego, co w jego poglądach i teoryach było jednostronnem i fałszywem, pozostanie wielką jego zasługą, że był poważnym stróżem wielkich grobów, drogich pamiątek, że krzepił wiarę, bo sam mocno wierzył, i co rzeczą jest dość rzadką, umiał wydobyć z lutni pienia prawie dawidowe, tak szczerze i potężnie religijne...“ „Nikt dobitniej nad Pola nie wygłosił wielkiej prawdy, że „Potrzeba *w domu stać o własnej sile,* I w wierze Ojców i w rodowej szacie,“ oraz że „z pokolenia przejdzie w pokolenie Bóg i podanie, język i sumienie.“

Tych kilka słów wyjętych dosłownie z prelekcyi Spasowicza, które mamy przed sobą, wykazują najdowodniej, że fałszem jest twierdzenie krytyków, *au coeur léger* mówiących, iż „Spasowicz zrzucił Pola z piedestału poezyi narodowej“ i że „zmięszał go z błotem.“ Nie robi go wprawdzie Spasowicz pierwszym wieszczem narodu, ale go przecież nikt nigdy za najpierwszego nie miał, a słowa wyżej przytoczone, przekonywają jak wysoko cenił go jako artystę i człowieka.

Inaczej rzecz się miała z krytyką socyalnych poglądów Pola. Spasowicz gdy chodziło o poetę nie tylko nie poniżał go, lecz wynosił; natomiast zbijał potężnymi argumentami przekonania skrajnego konserwatysty. Żeby trzymać się drogi przedmiotowej, idźmy i tu z autentycznemi słowami Spasowicza w ręku.

Biorąc assumpt ze słów Pola, że świat dlatego stał się złym i podobnym do przegniłego jabłka, że zastanawia się i rozumuje: „Dzisiaj świat inny, bo treść życia bada, Jak niegdyś bronią, dziś myślą dowodną Bodzie pierś wroga.... Dziś widno lecz chłodno, Chłodno i trzeźwo,“ bo każdy człowiek obliczył się z drugim i z sobą, otóż wychodząc z tych słów pełnych zniechęcenia, Spasowicz gromi poetę i powiada, że był tu „złym przewodnikiem i doradcą, bo sądy jego o stanie rzeczy spółczesnym, o tem co złe w nim i dobre, obrażają podstawy moralności, jeżeli nie *teraźniejszej,* to przynajmniej niezadługo *przyszłej*...“ „Rozważając nabytki i postępy ducha ludzkiego w moralności, dobrotliwości, chrześciaństwie, głęboko jestem przekonany, że do największych takich postępów zaliczyć należy wzrastające wciąż rozpowszechnienie zwyczaju walczyć na rozumy raczej, niż na pięście, i kłuć pierś wrogaw przód myślą dowodną, niż ją kroić ostrą szablą....“ „Sądzimy, że i dzieje świata, dzięki podniesionemu poziomowi wiedzy, innem popłyną korytem; nie tak może malowniczo, bez krwi potoków, rozlewanych w zapasach domowych i narodowych, bez ostrych granitowych wierzchołków, trzaskanych piorunami i świecących ogniem, jak na Sinai, bez wielkich ludzi meteorycznych, ale spokojniej, przestronniej i zbożniej. I będzie w tym świecie który kiełkuje i podrasta niezawodnie trzeźwiej, zapewne nie chłodniej, a niezaprzeczenie o wiele lepiej, bo jaśniej. Kto tej jasności złorzeczy, ten stoi jedną nogą w wiekach średnich i niezaprzeczenie liczyć się nie może do przodujących ludzkości umysłów, chociażby był wielkim poetą, panem serc, grającym na nich, jak na strunach...“ „Czasy wiary w możność bezpośredniego działania wyższej woli na narody *bez ich zasługi* minęły bezpowrotnie“. „Jeżeli zwiedzający w r. 1864 Włochy Taine tak scharakteryzował zadanie obecne narodu włoskiego: „przerobić naród feudalny na nowożytny, spokojnie, nie odrazu, bez wybuchów,“ toż samoby powiedzieć o nas musiał każdy bystry spostrzegacz od początków wieku. Należało się starać, aby coprędzej rozpuściły się w płynie kryształki szlacheckich obyczajów, sposobu życia i odrębności, a zadanie to trudne, robota długa, sam messyanista Krasiński nie inaczej go pojmował, on, w niezmiernej oddali ukazujący na cel wielki, w perspektywie z wieków, przez które kroczyć trzeba cierpliwie i zwolna, nim nie wyszlachetnieje społeczność przez umoralnienie jednostek. Tych niesłychanych trudności wykonania Pol nie pojmuje, że istnieją nie przypuszcza...“

Po całym obszarze odczytu, zdania w ro-

dzaju wyżej przytoczonych są rozsypane. Przechodząc do szczegółowej oceny pojedyńczych utworów Pola, Spasowicz krytykuje go, pozostając przeważnie na stanowisku socyologa i polityka, szukającego wpływu dzieł poety na współczesnych, i w wielkiej ilości tych dzieł znajduje przewagę wpływów ujemnych. Sąd! to ostry i surowy — tak że smutne i boleśne wrażenie na tych, którzy go słyszeli, zostawił. Było to główną przyczyną całej wrzawy, i dziwić się nie należy, bo czyjeż serce nie ścisnęło się, gdy jedna z najuczciwszych postaci i jeden z najsympatyczniejszych pisarzy, był „druzgotany“, jak się w Warszawie pisma wyraziły, wykazywano w nim ujemne strony, na które dotąd w kolosie nie zwracano uwagi. Może p. Spasowicz pobłądził, zwróciwszy główną uwagę na ujemne strony i jak twierdzi Prus w jednym ze swoich fejletonów, do publiki wrażliwej i powierzchownie rzeczy biorącej, zamiast jak orator podnosić i rozrzewniać, przeraził i zasmucił wielu. Lecz pamiętajmy o tem, że z katedry mówił człowiek potężnej wiedzy, całe swe życie dla kraju poświęcający, że wprawdzie mówił gorzką, ale według jego przekonania, czystą i szczerą prawdę, bez żadnej przymieszki złej woli, i że wobec tego namiętne rzucanie się dziennikarstwa na niego, zarzucanie mu braku patryotyzmu, szerzenia moskiewskich pojęć panslawistycznych, insynuowanie mu polityki moskalofilskiej jest faktem oburzającym i smutnym, bo dowodzi dziwnego pomieszania pojęć, braku siły do wysłuchania prawdy i ciasnych punktów widzenia. Jak powiada Prus, prelegent robi wrażenie olbrzymiego posągu, nie podnieśliśmy głów dość wysoko, aby go dokładnie obejrzeć i z tego powodu widzieliśmy tylko cień jaki rzucił, nie zaś samą postać.

Odczyt Spasowicza zrobił na publiczności naszej wrażenie wiadra zimnej wody, wylanego na drzemiących ludzi. Nastąpiło przeziębienie i jako reakcya słaba gorączka, która tylko na dobre wyjść może, bo wzbudza powszechne zainteresowanie się najogólniejszemi naszemi sprawami, przyczyni się do różnostronnego rozebrania warunków, w których się znajdujemy i wyjaśnienia kwestyi nieraz zupełnie błahych, a jednak niepotrzebnie dzielących nasze społeczeństwo na obozy.

Jasność i trzeźwość nigdy nam nie zaszkodzą.

W każdym razie, radzimy czytelnikom przeczytać odczyt Spasowicza, nie oglądając się wcale na lekkomyślne wrzaski, i nie iść w ślady niektórych pism galicyjskich, które z trójnoga wygłaszały sądy o odczycie, *nie czytając* go wcale, a nawet, o horor! przed jego publicznem wygłoszeniem.

Sumienności! więcej sumienności!

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Figiel poczciwego Jędrusia.

Po owej awanturze z majstrem, Panewka bardziej jeszcze zbliżył się do Jasia, coraz częściej składał mu wizyty lub zapraszał do siebie. Na jednej z takich wizyt zapytał sieroty:

— Zkąd ty to wiesz, że Ameryka jest za morzem?

— A z książek — odparł Jaś.

— Książki! — mruknął czeladnik skrobiąc się w głowę. — Djablo to droga rzecz...

— Nie bardzo. Za kilka złotych można mieć wcale porządną...

Panewka zamyślił się, a potem rzekł nagle:

— Żebym ja tak piwa nie pijał, to wiele możnaby mieć książek na rok?

— Eh! — zawołał Jaś — chyba ze sto!

Ignacy złapał się za głowę; następnie zaś z wielkiem zakłopotaniem począł mówić:

— Bo to widzisz, jabym tak chciał wiedzieć jedno i drugie, alem... trochę słaby w czytaniu i w pisaniu też nie tęgi. Żebym miał przy kim przypomnieć sobie...

Jasiowi zamigotały oczy.

— Ja pana nauczę... wszystkiego nauczę! — krzyknął, chwytając czeladnika za rękę.

I otóż stanął układ. Panewka piwo zarzucił, teatru się wyrzekł, a natomiast począł kupować książki, które dawał Jasiowi. Jaś za to uczył go czytać, pisać, trochę rachunków, a nadewszystko opowiadał mu mnóstwo ciekawych rzeczy.

Odtąd każdy dzień świąteczny od rana do nocy spędzali razem. Lekcye trwały krótko, lecz za to czytaniu prawie końca nie było. Jaś pełnił obowiązki lektora, czeladnik zaś słuchał i pożerał go wzrokiem.

Sympatya jego dla sieroty powoli zamieniła się w fanatyczne i nieograniczone przywiązanie. I nic dziwnego. Panewka podobny był do człowieka, który mieszkając od urodzenia w ciemnicy, tęsknił do światła; Jaś znowu był iskrą, która choć w części zaspokoiła jego tęsknotę. Panewka żył tylko codziennemi wrażeniami i prawie nie myślał. Jaś otworzył przed nim szeroki horyzont marzeń i medytacyi. Co więcej, sierota mimowoli nauczył biednego i ograniczonego prostaka ćwiczyć się w cnocie, poskramiać pragnienia, doskonalić strony moralne, i za to wszystko we własnem tylko sumieniu szukać nagrody!..

Szlachetnej tej duszy brakowało jednak samodzielności. Czeladnik zdolny był do wszelkiego zaparcia się, do najwznioślejszych poświęceń, ale tylko przy Jasiu. Dla niego sierota był takim warunkiem do duchowego rozwoju, jak słońce do widzenia przedmiotów. Gdyby Jasia kiedykolwiek zabrakło, biedak ten pogrążyłby się znowu w ciemności, tem straszliwszej, że towarzyszyłyby jej inne wspomnienia i świadoma tęsknota za lepszem. Czy Jaś rozumiał swój wpływ na czeladnika i jego niezmierne poświęcenie?.. O tem godzi się wątpić. Chłopiec lubił go, lecz bardziej jeszcze książki, których mu Ignacy dostarczył. Czuł on, że między niemi istnieje niezapełniona przepaść, jaka tylko istnieć może między dwoma umysłami czynnym i biernym, tudzież między dwiema osobami, z których jedna jest flegmatyczną i szorstką, druga zaś zdolną, ognistą i wrażliwą, i dobrze wychowaną. W tym więc czasie, gdy Panewka żyć prawie bez Jasia nie mógł, Jaś obywał się bez niego doskonale, a a nawet nudził się z nim niekiedy. Istotnie, owe wiekuiste a nierozsądne pytania, owe wpatrywanie się w oczy, ślepa wiara we wszystko, co z ust chłopczyny, mogły zaciężyć nawet wytrawnemu człowiekowi. Bezmierne przywiązanie nakłada zawsze pewien rodzaj pęt na osobę ukochaną i dlatego łatwo sprzykrzyć się może.

Z rodziną pana Karola stosunki Jasia zerwały się zupełnie. Będąc już w terminie sierota odwiedził ich kilka razy, za pierwszym razem pani pogadała z nim w przedpokoju i kazała nakarmić w kuchni, za drugim razem pan Karol palnął mu długą mówkę, w której radził kochać, szanować i słuchać majstra, i zarabiać na przychylność kolegów. Za trzecim razem zamknięto chłopcu drzwi przed nosem. Odtąd już ani razu tam nie poszedł i począł uczuwać w sercu wielką pogardę dla znakomitego filantropa, którego rady w oczach Jasia nie miały sensu. „Słuchać majstra?“ A więc pić piwo i wódkę, pochlebiać i niekiedy kłamać! „Zarabiać na przychylność kolegów?“ A więc kraść i znowu kłamać!... Rozmyślając nad tem kazaniem, Jaś wzruszał ramionami, choć miał dopiero lat jedenaście.

Wśród takich wypadków minęło lato, jesień a nawet i Boże Narodzenie. Jaś na kolędę od majstra dostał nową kamizelkę, a od pana Karola następujący liścik, zaadresowany na imię Durskiego:

„Jasia na święta nie proszę, ponieważ prawdopodobnie sam nie będę w domu. Z pieniędzy pozostałych po nieboszczce, a ulokowanych przezemnie w kasie oszczędności posyłam rs. 10 na zakupienie rzeczy dla Jasia potrzebnych. Przypominam mu też, aby był dobrym i westchnął niekiedy za duszę matki. Uniżony sługa Karol.“

Pan Kalasanty list ten odczytał głośno, w obec wszystkich terminatorów i czeladników, szczególny kładąc nacisk na wyrazy: „Wielmożny pan Durski“ i „uniżony sługa“ a potem dodał od siebie:

— O widzisz!.. Masz być dobrym i wzdychać czasem za duszę matki... Uniżony sługa... To jakiś porządny panie człowiek z tego Karola!...

Jaś, wysłuchawszy tego, ścisnął tylko pięści. Czuł on, że pan Anzelm nigdy nie napisałby podobnego listu.

Przez całe święta, państwo Durscy hulali jak para aniołów. Po świętach, na Jana Ewangelisty, zamknęli sklep z okazyi imienin swego synka, a na Młodzianków otworzyli wprawdzie sklep, lecz zostawiwszy w nim Jasia i Jędrusia, sami wyszli do miasta. Przypomniała sobie bowiem pani Durska, że najprzód dziś wypadają urodziny stryjecznej siostry jej ciotki po ojcu, a powtóre, że jutro będą musieli oboje siedzieć w domu, ponieważ Panewka chce wyjść za interesami.

Z dwu pilnujących sklepu chłopców, Jasia już znamy, warto więc poznać i Jędrusia. Ten Jędruś to było poczciwe dziecko, jak mówili państwo majstrowie. Robić wprawdzie nie lubił, ale za to mógł cały dzień siedzieć i drzemać. Był też niesłychanie przywiązanym: za byle co majstrowę całował w rękę, a majstra nigdy z żadnego uczynku nie wydał. Doskonały ten chłopiec posiadał przecież dwie wady: miał tęgą głowę do rachunków i nie miał szczęścia do świata.

Jeżeli był posłany z rublem do miasta, a zrobił sprawunek za sześć złotych, wówczas przynosił szesnaście lub ośmnaście groszy reszty. Gdy go pytano: gdzie cztery grosze? dziwił

się, płakał, całował po rękach, twierdząc jednak uparcie choć łagodnie: że przyniósł reszty rychtyg tyle, ile było trzeba.

— Oto ci dopiero zakuty łeb!.. — krzyczał wtedy majster, z lekka targając go za uszy.

Niekiedy bywało gorzej i trafiało się, że jakiś łotr na ulicy wydzierał Jędrusiowi po kilka złotych z ręki, a raz nawet wyrwał mu ktoś w taki sposób nowe spodnie, które odnosił. Wówczas pan majster chciał mu koniecznie: „przyfastrygować kilka rzemieni pod sprzączkę“, lecz broniła go majstrowa:

— Daj pokój! — mówiła tłusta dama — czyż się godzi bić za nieszczęście? To bywają tacy ludzie! Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą.

Wyznać jednak należy, że poczciwemu Jędrusiowi szydła goliły zbyt często.

Otóż w dzień Młodzianków, gdy majstrów już od paru godzin w domu nie było, a z gości nikt nie przychodził, poczciwy Jędruś odezwał się do Jasia:

— Przyniósłbyś tam jaką książkę do czytania, bo się okropnie nudzi.

Usłyszawszy to żądanie z ust zawołanego próżniaka, Jaś zdziwił się wprawdzie, lecz mimo to, chętnie pobiegł na stryszek. Zabawił tam z dziesięć minut, a wróciwszy, dostrzegł, że poczciwy Jędruś jest ogromnie zmieszany i że mu drżą ręce. Nie zastanawiając się jednak nad tem głębiej, otworzył książkę i za chwilę cały utonął w czytaniu.

Tego samego wieczora, pani Durska, odsunąwszy sklepowy kantorek, zapytała nagle męża:

— Czyś ty brał pieniądze, niedołęgo?...

— Nie, albo co?

— To, że nam brakuje kilkunastu rubli, ty pijaku!.. — zawołała oburzona dama.

— Jezus! Marya!.. — krzyknął zupełnie już trzeźwy pan Durski. Pewnie nas kto okradł!

— Jużci, że okradł, ale nie wiem nawet, czy dziś, czy wczoraj.

Za szafami rozległ się jakiś szelest, na który jednak małżonkowie nie zwrócili uwagi. Po chwili namysłu, majster rzekł:

— Nie gadajcie nic nikomu... Jak jutro chłopcy będą w warstacie, zrewiduję ich kuferki. Czy pamiętasz jakie były pieniądze?

— Był jeden papier dziesięciorublowy... był znowu trzyrublowy sklejony i ten bym poznała. Także srebrna pięciozłotówka i dwuzłotówka...

— Znajdzie się to! — mówił majster — tylko siedź cicho. Dzięki Bogu jeszcze, że się do grubszych pieniędzy nie dobrał!..

W tej chwili, uchyliły się po cichuteczku drzwi od strony podwórza i z poza szaf sklepowych wyśliznął się ostrożnie jakiś cień skurczony i drżący. Ale majstrowie i tego nie zauważyli.

Około północy, na strychu, podczas gdy wszyscy chłopcy pogrążeni byli we śnie głębokiem, ten sam cień przypełzał do pościeli Jasia, począł przysłuchiwać się jego spokojnemu oddechowi, a wreszcie wyszeptał głosem przypominającym syk węża:

Jasiu!... Jasiu!...

Szept ten nie rozbudził sieroty; lecz podsunął mu marzenie. I otóż śniło się Jasiowi, że jest w jakimś nieznanym sobie ciemnym pokoju, którego ktoś ukryty w izbie sąsiedniej usiłuje go zwabić, szepcząc:

— Jasiu!... Jasiu!...

Chłopiec znał zkądsić ten głos, lecz go się lękał. Zdawało mu się, że osoba ukryta za drzwiami musi być przebrana w jakieś stare i zleżałe kobiece suknie i że jest straszna. W niepojęty sposób odgadywał on wysoki wzrost widziadła, szkaradne rysy i uśmiech fałszywy i czuł, że mu włosy powstają na głowie. Począł się lękać nie tylko tej osoby tajemniczej i złowrogiej, ale tych pokojów pustych i mroku, który je zapełniał... Chciał uciekać, lecz mu nogi odmówiły posłuszeństwa... Chciał krzyknąć, lecz głos mu zamarł... A tu tymczasem drzwi w pół otwarte skrzypnęły z lekka i przez szczelinę między niemi a futryną, zobaczył już wyraźniej stare i zgniłe suknie; fałszywy uśmiech i martwe oczy widma...

Zerwał się z jękiem i zdawało mu się, że dostrzegł jakąś ludzką postać, która zamknęła szybko jego kuferek i ukradkiem, przy ziemi poczołgała się ku pościeli Jędrka. Widzenie to jednak Jaś policzył na karb snu i znowu padł na twardą poduszkę.

Z rana, gdy chłopcy zasiedli do roboty, poczciwy Jędruś zeszedł do sklepu, a Jaś udał się za sprawunkami do miasta, pan Kalasanty w towarzystwie jednego z czeladników zrewidował kuferki na strychu, celem wykrycia wczorajszej kradzieży. Poszukiwania te trwały z godzinę, dobry jednak skutek musiał je uwieńczyć, pan majster bowiem wydając okrzyki podziwu i klnąc na czem świat stoi, szybko zbiegł do sklepu, aby złożyć raport żonie.

Tu zastał Jasia, który w tej chwili wrócił z miasta. Zobaczywszy go, prawie szalony z gniewu Durski, schwycił chłopca za rękę i wrzasnął:

— A tuś mi złodzieju!... Za to, żem cię na naukę przyjął, żem cię jak własnego syna pielęgnował, tyś mnie na podziękowanie okradł?... Poczekaj!...

Jaś osłupiał, a zdumiona majstrowa zawołała gniewnie na męża:

— Czyś oszalał stary?.. Co ty wygadujesz? Majster ochłonął nieco i rzekł:

— Gadam to, że on nas okradł. Ot, patrzaj, co w jego kuferku znalazłem!..

I pokazał żonie sklejony trzyrublowy papierek, tudzież pięcio i dwuzłotówkę srebrną.

Pani Durska aż usiadła na krześle.

— Chryste elejson! — mruknęła — jaki to teraz świat przewrotny!..

Majster znowu zwrócił się do Jasia i podniesionym głosem zawołał:

— Gadaj!.. kiedyś ukradł?... gdzie jeszcze dziesięć rubli?.. z kolei Jaś konwulsyjnym ruchem schwycił majstra za rękę i patrząc na niego z wyrazem wyrzutu i rozpaczy, zalany łzami, drżący całem ciałem, mówił wśród łkań, któreby najtwardsze serce zmiękczyły:

— Panie!.. panie... co też pan mówi?.. Ja bym panu wziął pieniądze?... Ja?...

— Gdzie dziesięć rubli?..— wrzeszczał nieubłagany majster, uderzając go w twarz. — Gadaj!... bo na policyę cię oddam!...

Jaś zaniósł się od płaczu, zatchnął się tak, jakby mu w tej chwili płuca pęknąć miały i rozdzierającym głosem zawołał:

— Panie!.. ja nie wziąłem... jak matkę kocham!...

I załamał ręce.

Na tłustem obliczu pani Durskiej znać było powątpiewanie i litość, ale zaciekły małżonek jej nie miał zwyczaju ulegać podobnym słabościom, a widząc, że nie skutkują ani jego wrzaski, ani bicie, zniżył nagle głos o całą oktawę i już niby spokojnie rzekł:

— Jędrek!.. — zawołaj stójkowego.

Uczciwy chłopak powoli wyszedł a Jaś oprzytomniał. Teraz dopiero jasno zrozumiał swoje położenie: posądzono go o kradzież... W tej chwili stanęły mu w myśli nauki matki, własny jego wstręt do podobnego występku, a wreszcie widziany przed kilkoma laty obraz grupy ludzi okutych w łańcuchy i otoczonych przez wojsko. Byli to zbrodniarze, do których jego zaliczano obecnie!...

Coś zamigotało mu w oczach, zaszumiało w głowie... Usłyszał brzęk kajdan i krzyki ulicznych tłumów... Nagle rzucił się ku drzwiom i wybiegł na ulicę.

— Łapaj!... — zawołano.

Jaś wpadł do jakiegoś przechodniego domu, z niego na drugą ulicę i znikł wśród tłumu przechodzących.

Około południa do sklepu majstra Durskiego zeszło się mnóstwo osób. Byli tam terminatorzy, czeladnicy, sąsiedzi, którym pan Kalasanty po raz dwudziesty z rzędu opowiadał o tem, jak go Jaś okradł, jak dziesięciu rubli nie oddał i jak wreszcie uciekł z domu, nie wiadomo gdzie. W tej chwili wszedł nieobecny dotychczas Panewka, stęskniwszy się widać za robotą, a może i za Jasiem.

— Aha!... Jak się masz panie Ignacy?.. Dobrze się twój metr popisał!.. — zawołał majster i znowu ze wszelkiemi szczegółami mu o kradzieży, rewizyi, o braku dziesięciu rubli o ucieczce sieroty.

Panewka słuchał go skamieniały. Nagle potoczywszy wzrokiem po obecnych, pochylił się naprzód. Oczy jego przybrały kolor zielonawo-żółty i z poza bladych warg ukazały się rzadkie i krzywe zęby.

X.

Dzieje listu

Powiadasz, mój przyjacielu, że pan Bóg jest najlepszym dramaturgiem: ponieważ zawsze daje najmniej spodziewane rozwiązania. Masz racyą i na dowód tego opowiem ci następującą historyę.

Nieopatrzony marką list Jasia, dość już długo wisiał w skrzynce pocztowej, choć był bardzo a bardzo pilny, a mimo to nikt nie ulitował się nad nim. Przechodziło tamtędy mnóstwo dam, które bawią się tylko dla otarcia łez cierpiącej ludzkości i z których każda jest tak świątobliwa, że po śmierci wprost z karawanu pierwszej klasy, wzięta zostanie do własnego pałacu w królestwie niebieskiem. Żadna z nich jednak nie raczyła spojrzeć na biedny liścik, który w niebogłosy zdawał się krzyczeć, aby go do Wólki wysłano! Przechodziły panny piękne jak jagody, a takie dobre, niewinne i miłosierne i w ogóle tak doskonałe, że pojawienie się ich robiło dystrakcyą wygłodzonym kancelistom pocztowym, że na ich widok, pocztylioni i bryftrygierzy żegnali się, jak przed cudownymi obrazami... Lecz i z nich żadna nie zainteresowała się liścikiem. Dopiero dwie dziewczyny ubogie i obdarte, stanąwszy przed szafką, mówiłyj edna do drugiej:

*

— Nie masz ty czasem dwudziestu groszy.

— Nie, albo co?..

— A to, że kupiłabym markę do tego oto listu, co mu tak pilno, że się aż wykrzywił.

— Phy!.. żebym ja miała dwadzieścia groszy, to bym szewcowi odniosła trzewiki, co mi z nich palce wyłażą.

I odeszły biedne dziewczęta, a list znowu został! choć co prawda, ciężka to rzecz kupować marki tym, którym z trzewików palce wyłażą!...

Przechodzili tamtędy także i panowie porządni, starzy i młodzi, w futrach i paletotach w płytkich i bardzo głębokich kaloszach. Ten miał złote okulary, inny laskę z kością słoniową, ów częstował znajomych kilkuzłotowemi cygarami, tamten posiadał kamienicę, a jeszcze inny najlepsze serce w świecie. Wielu z nich było członkami Towarzystwa Dobroczynności, albo Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, wielu z nich troszczyło się o paralityków, lecz list Jasia, leżący od tak dawna w skrzynce, żadnemu na myśl nie przyszedł.

Nareszcie i on zwrócił na siebie uwagę. Przez dziedziniec pocztowy przesuwał się codziennie pewien jegomość chudy i łysy, w długim granatowym płaszczu. Zły to był i chytry starzec!... Ilu on panów, co powozami jeździli, na dziady wykierował, ilu kupców na Leszno wsadził, ile wdów i sierót zgubił, ilu młodym ludziom swymi olbrzymimi procentami karyery zwichnął, o tem dopiero dowiemy się w dzień sądu ostatecznego.

Ponieważ staruszek ten przez całe swoje życie pisywał listy na koszt, z obawy więc: czy i teraz do którego nie zapomniał marki przylepić i czy mu go nie odrzuciła poczta, często zaglądał do szafki. I otóż, w czasie jenej z takich odwiedzin przeczytał adres:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma w Wólce, żeby prędko doszedł.“

Zobaczywszy to, stary aż się zatrząsł z gniewu i uderzając laską w kamienie, mruknął:

— A to dopiero oślisko jakieś!... Chce, żeby mu list prędko doszedł, a marki nie przylepia...

Z temi słowy szybko pobiegł do bramy, lecz tu nagle się zatrzymał i znowu mruknął:

— Dobrze mu tak, niech się pilnuje!...

Ale na środku ulicy Nowo-Senatorskiej, znowu stanął i jakby kłócąc się z kimś, mówił gniewnie:

— A to co nowego?.. Ja... ja mam marki kupować, za jakichś tam hołyszów, urwipołciów?... Zjesz diabła, czy ci się uda!

Daremnie jednak wykręcał, daremnie klął i usiłował biedz naprzód! Schwyciła go za kark potężna prawica boża i już z placu Teatralnego zawróciła na pocztę. Ale lichwiarz nie dawał jeszcze za wygrane i począł się tłómaczyć płaczliwym głosem:

— Pewnie już nie ma urzędników na poczcie, oni by też tam dla takiego głupiego listu czekali! A czy licho nadało z tą kanalią?... A czy nie mógłby to tego samego zrobić jaki uczciwy i bogaty człowiek?...

Mimo to wracał, choć stękał jak niedźwiedź i zaszedł do biura, gdzie marki sprzedają. Ach! jakże mu trudno znaleść było woreczek z pieniądzmi, jak mu się ręce trzęsły, jak ciężko żałował tych dziesiątczyn... Mimo to, musiał zapłacić i list poszedł.

Dziwne rzeczy wyrabiasz o Panie! że pominąwszy tyle zacnych i wykwintnych osób, do spełnienia woli sierocej użyłeś lichwiarza w wytartym i zabłoconym płaszczu... A może też zapragnąłeś w nieograniczonem miłosierdziu aby para lichych pieniążków nie dopuściła jednej duszy ludzkiej do jamy piekielnej, gdzie źli napawani będą smołą i goryczą i przez ciąg wieków smażeni w ogniu, którego nawet łzy nieszczęśliwych całego świata nie ugaszą!...

Z tem wszystkiem, zdawało się, że jakaś klątwa ciąży nad biednym liścikiem Jasia. Po wysłaniu go bowiem z Warszawy, zajechał na inną stacyę, znowu wrócił i dopiero po Bożem Narodzeniu doszedł do rąk właściwych. Akurat w dzień Ś-go Szczepana, około 10tej wieczorem, gdy dzieci już spały, pani zaczęła nową powieść, a pan Anzelm myślał o niektórych dyspozycyach na jutro, do niskiej jego izdebki wszedł Młynkiewicz, który w tej chwili właśnie powrócił z miasteczka.

— Cóż, pisma są? — zapytał Anzelm.

— A są, i jeszcze list jakiś — odparł ekonom, kładąc na stole sporą paczkę.

Szlachcic wziął przedewszystkiem list do ręki, a przeczytawszy adres, wybuchnął uśmiechem:

— Także koncepista jakiś! — zawołał.

— A może to nasz Jaś?... — wtrącił półgębkiem ekonom.

— Zapewne że on!... to tak jakby jego charakter... — mówił szlachcic, szybko rozrywając kopertę. A potem zaczął czytać głośno:

„Kochany panie! Mama chciała sama do pana napisać, ale już umarła...“

— O nieszczęście! — mruknął pan Anzelm i wybiegł do pokoju żony, wołając: Wiesz ty kochanko, że biedna Wincentowa już nie żyje!...

— Co za Wincentowa? — spytała dama, wznosząc na męża zapadłe oczy.

— No ta, która u nas była guwernantką... matka Jasia!

— Szczęśliwa!... — szepnęła nerwowa dama, spuszczając znowu oczy na książkę.

Pan Anzelm zaczerwienił się, chwilę popatrzył na żonę i z gniewem wrócił do siebie.

— Takie to nasze życie — odezwał się do niego Młynkiewicz. — Człowiek niby to żyje, żyje... a potem grabarz poklepie go łopatą i basta!

— A cóż to znowu znaczy?... — krzyknął zaperzony szlachcic, ostro patrząc na swego oficyalistę.

— Koncept panie!... — odparł nieśmiało ekonom, drapiąc się w głowę.

— Głupi koncept, wcale nie w porę!... zgromił go pan Anzelm i począł znowu list przeglądać.

Młynkiewicz zawstydził się, parę chwil milczał, a potem znowu odezwał się półgłosem:

— Cóż on tam pisze ten nieborak?...

Szlachcic utarł nos, zaczął szybko mrugać powiekami i stłumionym głosem czytał dalej:

„Już w końcu była nam taka bieda, że strach!... a mama przed samą śmiercią ciągle wspominała o panu. Teraz jestem u pana Karola, który mię wziął z łaski. Dobrze mi tu, ale tęskno, bo nieraz nie ma człowiek do kogo gęby otworzyć, choć jeść i pić jest co. Z początku mieszkałem z chłopcami, ale potem dali osobny pokoik i do stołu nie zawsze wołają, to też mi bardzo smutno. Od wakacyi wzięli mię chłopcy uczyć, ale więcej tam klęczenia i łap dawania, niż tego co potrzeba. Mają oni fuzyę i welocyped, ale mi tego do ręki nie dają, choć ja i nie wiele o to stoję, bo wolałbym się uczyć z kim starszym. Najgorzej mi tylko żal, że naskarżyli na mnie z panią przed ojcem, żem leniwy i próżniak. Za to pan Karol rozgniewał się i mnie w domu zostawił, choć wszyscy wyjechali na wieś, aż mi się płakać chce.

„Mój kochany panie, niech się pan nie gniewa na mnie za tak brzydkie pismo, ale to nie z lenistwa i próżniactwa, tylko przez pióro złe... Mój kochany panie, co ja mam z sobą robić, kiedym już tak sam został na świecie? Trzeba by mi pójść na własny zarobek, ale nie śmiem podziękować panu Karolowi, bo on zawsze taki, jakby chorował i ciągle się tylko za głowę łapie. Może ja bym się tam na wsi przydał do czego, to już i nauce dałbym chyba pokój, aby tylko ztąd wyjść.

„Całuję ręce i nogi panu i pani, całuję także Antosię i Józia i Manię i Kazię i panu Młynkiewiczowi się kłaniam i Wojciechowi, jeżeli jest i niech mi pan odpisze, jak się tam powodzi i czy wszyscy zdrowi?“

Następował podpis imienia i nazwiska, tudzież adres.

Szlachcic, skończywszy czytać, stanął przed ekonomem i rzucił mu jedno tylko pytanie:

— Hę?!...

— Wola pańska — odparł osiwiały ekonom, kłaniając się. — Musi tam być chłopcu okrutnie źle...

— Wydobędziemy go!... — rzekł jakby do siebie Anzelm, i począł wielkimi krokami chodzić po pokoju, rozmyślając. Dla tego uczciwego człowieka sprawa sieroty przedstawiała się bardzo jasno. Trzeba go ratować, ponieważ chłopiec to niepospolicie zdolny i dobry. Prócz tego był synem kobiety, która mu wiernie służyła, a więc według tradycyi familijnych należał do rodziny Anzelma. Cała rzecz rozbijała się o pieniądze. Aczkolwiek bowiem od chwili przeniesienia się na dzierżawę, szlachcic szalenie pracował i miał się nieźle, lecz w tej chwili nawet na podróż do Warszawy gotówki nie posiadał.

Pomyślawszy jeszcze, rzekł do ekonoma:

— Potrzebuję z pięćset rubli... Trzeba chłopca przywieźć i od wakacyi oddać do szkół.

— Ładny grosz! — mruknął ekonom.

— Mamy przecież trochę zboża na sprzedaż? — spytał pan Anzelm.

— Tak zboże jest, ale o kupca nie łatwo, a przytem to ekstra-ordynaryjny wydatek... Zresztą i Józia czas by już do szkół...

— Tępy chłopiec! — odpowiedział szlachcic. — On się jeszcze i za dwa lata nie przygotuje.

Nastało znowu milczenie, które przerwał ekonom:

— Kiedy taka wola pańska, to pieniądze się znajdą. Przecież tydzień temu, pan Adam za cugowe konie dawał akurat pięćset rubli...

Słowa te podziałały na Anzelma jak ku-

bel zimnej wody. Przez chwilę jeszcze się wahał, lecz w końcu dodał już innym głosem:

— Niech Młynkiewicz idzie spać.

Potem znowu począł rozmyślać:

— Żal mi wprawdzie chłopca, no! alež i ja mam obowiązki... Od kwartału jest w domu nauczyciel do Józia, mógłby się więc przy nim trochę poduczyć, a ze szkołami ciężka sprawa... Szkoda chłopca!...

Co prawda, pan Anzelm wstydził się nawet przed sobą wyznać, że mu trochę żal było pary koni cugowych, które stanowiły prawie jedyną pamiątkę lepszych czasów. Długów teraz nie miał, lecz dla edukacyi Jasia musiałby się przez lat parę bardzo ograniczać w wydatkach. Rok obecny był wyjątkowo pomyślny i pozwolił mu nawet na kupno żniwiarki, lecz czy tak zawsze będzie?...

Ale z drugiej znów strony pan Anzelm wiedział, że Jaś jest ogromnie obiecujący i domyślał się, że pozostając nadal w dzisiejszych rękach, zmarnować się może.

— Szkoda chłopca! — szeptał wzruszony. — No, ale i ja mam obowiązki i to ciężkie...

— Podołasz im! — odezwał się jakiś głos.

— Zapewne! — odpowiedział szlachcic, ale w takim razie wolę poprawić byt własnej rodziny. Edukacya chłopca może kosztować z parę tysięcy rubli, lepiej więc to odłożyć dla swoich...

— A cóż zrobisz dla kraju? — szepnął głos. Szlachcic na środku swej izdebki stanął struchlały, jakby pragnąc odegnać trapiące go myśli, spojrzał do koła siebie. Tym razem wzrok jego padł na trzy odwieczne portrety. Jeden z nich przedstawiał jakiegoś rycerza w zbroi, drugi starca, trzeci matronę.

I otóż zdarzyła się rzecz niesłychana: portrety te odżyły i poczęły mówić:

— Ja wygrałem bitwy, a w ostatniej z nich położyłem głowę... odezwał się rycerz.

— Założyłam szpital i szkołę, w której uczyło się kilka pokoleń... — mówiła matrona.

— Założyłem miasteczko i kilkanaście wsi... — odezwał się starzec.

— A wy coście zrobili?... — pytał głos. Twój ojciec goniąc za tytułem hrabiego po oberżach niemieckich strwonił cały prawie majątek, a ty resztę!...

Anzelmowi pot kroplisty wystąpił na czoło. Odwrócił się od obrazów i chciał usiąść przy biurku na starym, żelaznym fotelu skórą obitym. Nagle jednak cofnął się: w tej chwili bowiem, pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że nie godzien jest siadać na tem krześle, które zajmowali kiedyś znakomici obywatele kraju i święte matrony.

Tymczasem portrety mówiły znowu:

— Dom mój był przytułkiem inwalidów... szeptał wojownik.

— Do mego stołu zasiadały sieroty... — mówiła matrona.

— W złych czasach kilka tysięcy ludzi uratowałem od śmierci głodowej i dałem krajowi kilkunastu rzemieślników — odezwał się starzec.

— Twój ojciec wykształcił na pożytek ogólny kilkunastu żokiejów i pisarczyków — a ty — furmana i kuchtę, który cię okradł — uzupełnił głos.

— Żokiejów i pisarczyków — furmana i kuchtę... — powtórzył pan Anzelm z goryczą. Wartoż było dla tak nędznych rezultatów strwonić ogromny majątek, rodzić się z bohaterów i statystów, nosić odwieczne i sławne nazwisko i mieć pretensyę do tytułu: członka klasy przodującej społeczeństwu?...

— Nie byłem jednak gorszym od innych — szepnął szlachcic, jakby tłómacząc się przodkom, którzy w tej chwili spoglądali na niego martwemi oczyma. Istotnie! inni nawet psiarczyków porządnych nie umieli wykształcić!... Myśli jego znowu skierowały się do sieroty.

— Dobrze — mówił — więc przedam ostatnie cugowe konie, ograniczę się jeszcze bardziej, spadnę do klasy dorobkiewiczów — ale któż mi zaręczy, że cała praca moja nie pójdzie na marne, że chłopiec nie umrze, albo nie zepsuje się?

Tym razem miał racyą. Wysiłki jednostkowe stanowią zawsze pewien rodzaj loteryi, na której nie każdy los wygrywa. Gdyby jednak wszyscy stawiali na taką loteryę, to z ogólnej liczby poświęceń, większa ich część dobre wydałaby owoce!

— Czyń to, co na ciebie przypada, a o reszcie nie myśl!... — mówił głos.

I otóż szlachcic się zdecydował. Postanowił powiększyć rodzinę swoją o jednego członka, który go miał najwięcej kosztować. Postanowił przyjąć do domu swego dziecię obce i nie tylko porównać je z własnemi, ale nawet postawić wyżej niż własne. Robił to zaś bez fałszywego entuzyazmu, na zimno, czując, że tym sposobem spłaca dług, nieuiszczony w pomyślniejszych dla siebie czasach. Przed kilkoma laty podobna ofiara przyszłaby mu nader łatwo, lecz wówczas zajęty był czem innem: używaniem życia, nie zaś robieniem czegoś dla kraju...

Jeżeli mu się Jaś nie uda, wówczas czeka go zawód, pośmiewisko ludzkie, a kto wie nawet, czy nie wyrzuty ze strony własnych dzieci. Ale jeżeli się uda?...

Było to duże ryzyko, lecz nie on pierwszy ryzykował. Jego pradziad kilkanaście razy grał o życie, a choć w końcu przegrał, jednak dobre imię zostawił. Jego znowu ojciec grał także raz... w dyabełka o trzy wsie.

Wybiła trzecia rano, gdy pan Anzelm siadł do pisania listu, a siadł na starym żelaznym fotelu, który niegdyś zajmowali wojownicy, znakomici obywatele, i święte matrony. Czuł on, że jest im równy w tej chwili, choć składał na ofiarę tylko ostatnią parę koni cugowych... Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba zaraz odesłać ten list i konie panu Adamowi — rzekł szlachcic.

— Wola pańska!... — odparł ekonom, potem spytał...

— To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze! — odpowiedział pan Anzelm.

Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic został znowu sam, śmiało już spojrzał na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra nawet część swoich skromnych resztek i on także do stołu swego prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu zdolnego i uczciwego obywatela. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

I. Bitwa pod Rajgrodem w 1831 r.

(Dokończenie).

Roland zajął miasto. Kto wie, co znaczy rejterada po klęsce wobec następującego nieprzyjaciela, ten pojmie w jakiem położeniu znajdował się Saken. Giełgud powinien był natychmiast rozdzielić wojsko na dwie części, skierować jedną na most, a drugą w bród około wsi Wojda, nieznany Moskalom i ukazany przez jednego z mieszkańców, żeby skorzystać ze strasznego nieładu, w którym były wojska moskiewskie. Lecz Giełgud, nędzny jenerał, a bardzo zarozumiały, nie miał zdolności obmyślenia planu, ani talentu spełnienia go. Ucieszony wygraną bitwą kazał obozowi stanąć w mieście, dywizyę swą rozstawił po obu stronach szosy i kazał artyleryi odkryć ogień działowy do rejterujących się Moskali. Trzy godziny trwała kanonada. Strzelcy moskiewscy, zasiadlszy za palisadami urządzonemi około mostu, wyrządzali straszne straty artyleryi polskiej znajdującej się od nich zaledwo o 150 kroków. Okoliczność ta zmusiła Giełguda do dania rozkazu zaatakować Moskali. 19ty pułk piechoty pod dowództwem pułkownika Szymanowskiego rzucił się naprzód, owładnął mostem i pomimo kartaczowego ognia, czterech dział strzelających z reduty, zbudowanej około mostu, i ognia strzelców, spędził nieprzyjaciela z zajętych pozycyi. Jednocześnie z nim batalion 7 liniowego pułku majora Jaremy i trzy bataliony pod dowództwem pułkownika Kosa, pomimo ognia artyleryi stojącej na wzgórzach, pomimo zepsutych brodów przeszli rzekę Jegrznę w dwóch miejscach około Wojdy i około Budy. Ogień czterech dział ustawionych około Budy rozbił blokhauz zajęty przez moskiewskich strzelców, a pionierowie zbudowali most i dali możność prawemu skrzydłu przejść na lewy brzeg rzeki Jegrzny.

Saken w ciągu tej trzechgodzinnej niepotrzebnej kanonady, uporządkowawszy swe wojsko i wysławszy obóz swój naprzód do Augustowa, nakazał rejteradę. Polacy szli za nim tylko do niewielkiego lasku, ciągnącego się po obu stronach drogi. Giełgud wrócił do Rajgrodu i miał zamiar tam przenocować, lecz na prośbę Dembińskiego wyszedł z miasta, most spalił i stanął na lewym brzegu rzeki. Wojsko tak było zmęczone marszem i bitwą, że nie mogło w ten dzień iść dalej. Saken stracił w bitwie pod Rajgrodem około 2 tysięcy ludzi, Polacy zaś tylko 300, największej artylerzystów.

Rozpatrując rozporządzenia Sakena, musimy zwrócić uwagę na dwie ważne omyłki, które popełnił ten jenerał. Zdecydowawszy się zejść z dogodnej i silnej pozycyi w zamiarze zgniecenia przeciwnika, nie należało pozostawiać około Rajgrodu połowy swych sił; następnie zaś gdy w czasie bitwy przekonał się o przeważnych siłach nieprzyjaciela, powinien był natychmiast zrejterować się na ufortyfikowaną pozycyę, nie tracąc czasu na nieużyteczną tyralierkę, wtedy gdy z tyłu znajdowało się jezioro i defile do przebycia. Oprócz tego stosowniej było zaatakować Dembińskiego lewem skrzydłem, pozostawiając prawe na miejscu, żeby odrzucić Polaków ku jezioru Czarnemu, które w tem miejscu robi skręt na wschód, lub ku pruskiej granicy, bo przy nieudaniu się manewru rejterada byłaby daleko łatwiejsza.

Z rana dnia następnego oddział polski wyruszył naprzód i o 9tej przed południem zajął Augustowo. Tu Giełgud znowu zrobił ważną omyłkę. Należało z Rajgrodu oddzielić część wojska przez Raczki do Suwałk, żeby obejść kąt, który robi szosse w tem miejscu i przez to uprzedzić Sakena w tem mieście, a napierając resztę sił z frontu, zmusić go do przyjęcia bitwy w najfatalniejszych warunkach. Lecz Giełgud pomyślał o tem dopiero w Augustowie i wysłał w tym kierunku oddział Dembińskiego, który nie mógł już uprzedzić Moskali w Suwałkach i przybył tam w cztery godziny po wyjściu Moskali. Chcąc dopędzić Sakena, Dembiński zarekwirował 300 fur, które przybyły ledwo na drugi dzień do Kalwaryi.

Radość i uniesienie mieszkańców przy zbliżaniu się polskich wojsk nie miały granic. Augustowskie województwo, nie zniszczone przez wojnę, obiecało w 8 dni wystawić 4 tysiące ludzi i 4 tysiące koni i zebrać znaczną sumę pieniędzy. Dembiński upraszał Giełguda pozostawić w Suwałkach jedną brygadę, żeby skorzystać z tych środków i uorganizować powstanie w tym kraju. Giełgud w części tylko zgodził się na propozycyę Dembińskiego zostawiając w Suwałkach pułkownika Pukernickiego z 2 kompaniami piechoty i partyzantów Zaliwskiego.

Tym czasem Saken rejterował się nadzwyczajnie pośpiesznie i 2go czerwca zrobiwszy 150 wiorst, czyli 22 mile w cztery dni przybył do Kowna, przeszedł Niemen i most rozebrał. Rejterada ta dzięki niedołęstwu Giełguda dokonaną została w takim porządku, że moskiewski jenerał nie stracił ani jednego żołnierza, ani jednego furgonu.

Pozwoliwszy Sakenowi wygrać jeden dzień marszu, nie było już co myśleć o dopędzeniu jego, bo doszedłszy do Kowna i rozebrawszy most na Niemnie, przeciwnik wygrywał drugi dzień marszu. Ale tu nastręczał się cel daleko ważniejszy. Wyruszywszy z Suwałk na Lejny ku Niemnowi i przeszedłszy go w Mereczu lub Olicie, można było w 8 lub dziewięć dni marszu przybyć do Wilna. Ani Saken, ani Kuruta nie mogli go uprzedzić w tym punkcie, a gdyby i uprzedzili, to nawet połączone ich siły były dwa razy słabsze jak połączone siły Giełguda i Chłapowskiego. Z Wilna, jako środkowego punktu, można było rzucać się na oddzielne korpusiki Moskali, rozsiane po całym kraju dla niszczenia powstania i znieść ich zupełnie do przybycia pomocy z głównej armii moskiewskiej. Owładnięcie Wilnem odbiłoby się na działaniach głównej armii, bo niebezpieczeństwo, grożące na drogach komunikacyi, zmusiłoby główną armię oddzielić znaczne siły dla zgniecenia ekspedycyjnego korpusu, a przez to osłabić się wobec silnego i energicznego przeciwnika, gotowego skorzystać z każdej okoliczności, mogącej dać mu zwycięztwo. Nie wspominam już nawet, jakie zaufanie wzbudziłoby to do dowódzcy korpusu polskiego na Litwie, jaki entuzyazm i gotowość do ofiar w mieszkańcach!

Rozkaz Skrzyneckiego mówił inaczej!.... Giełgud zdecydował się iść na Żmudź, żeby wzmocnić się miejscowymi ochotnikami, i dla tego kazał przeprawić się korpusowi swemu przez Niemen około Giełgudyszek.

Zaledwo Chłapowski dowiedział się o przybyciu Giełguda, wysłał z Gabrielowa raport o stanie swego oddziału i prośbę pospieszyć z owładnięciem stolicą Litwy, która nie miała prawie żadnej załogi dla obrony.

Tymczasem Saken wyczekawszy w Kownie przybycia jenerała moskiewskiego, który z dwoma batalionami piechoty, 6 szwadronami kawaleryi i 6 działami stał w Rosiejniach, wyruszył 11go maja do Wilna, dokąd go wzywał Chrapowicki, gubernator Litwy. Połączywszy się z Malinowskim Saken, miał 10 batalionów piechoty, 10 szwadronów kawaleryi, 760 kozaków i 26 dział, a w ogóle do 7 tys. ludzi.

Wtedy gdy zmoskwicony Niemiec spieszył do Wilna, Giełgud znowu zwołał radę wojenną, na której Chłapowski przekonał wszystkich o konieczności owładnięcia stolicą Litwy. Dembiński upierał się, żeby spełnić rozkaz Skrzyneckiego, a już wzmocniwszy się na Żmudzi, iść na zdobycie Wilna. Giełgud jak zwykle nie zdecydowany, zgodził się na oba plany, a mianowicie dywizya jego miała ruszyć do Wilna, a dla owładnięcia Połągą i zebrania sił na Żmudzi, wysłał pułkownika Szymanowskiego z 19 liniowym pułkiem, złożonym z samych rekrutów, którzy kosy swe zamienili pod Rajgrodem na broń palną, zdobytą na Moskalach: do oddziału jego dołączono ochotników żmudzkich (400 koni i 2 działa), których przyprowadził marszałek Stankiewicz. Siła całego oddziału wynosiła 1.100 ludzi. Szymanowski w tenże dzień wystąpił na Kejdany do Szawel. Dla nauczenia musztry żmudzkiej kawaleryi, Giełgud wyznaczył dwóch oficerów i 8 podoficerów za instruktorów.

Wyruszywszy natychmiast do Wilna, Giełgud mógł uprzedzić przybycie Kuruty i innych posiłków, lecz niestety jenerał ten nie pojmował całego znaczenia zajęcia stolicy kraju i zdecydowawszy się iść do tego celu, ani trochę nie spieszył się. Przybywszy do Janowa, zatrzymał się i zaczął się zajmować ustanowieniem tymczasowego rządu na Litwie, rozdawaniem tytułów, organizacyą sztabów i zarządów, robieniem przeglądów i musztr, i przyjmowaniem wizyt, urządzaniem obiadów i balów, na których na fajerwerki spalano proch tak potrzebny dla ekspedycyjnego korpusu, nareszcie tworzeniem z doskonałych partyzanckich oddziałów liche pułki i bataliony. Jenerał otoczył się hrabiami, książętami, dowódzcami oddziałów powstańczych i akademikami, ale zamiast zrobić ich żołnierzami, męczył wszystkich bezczynnością, a nie przyuczywszy ich ani do dyscypliny, ani do porządku, miał prowadzić do boju!

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XV.

Gdzie jest mowa o pierwszych i ostatnich stosunkach, jakie się zawiązały między Palmirynem Rosette a Izaakiem Hakhabutem.

Nadszedł wrzesień. Niepodobna jeszcze było opuścić ciemnego, ale ciepłego schronienia we wnętrzu Gallii i przenieść się do Ula Niny. Pszczoły pomarzłyby z pewnością w swoich komórkach.

Na szczęście i na nieszczęście zarazem wulkan nie groził wznowieniem swej czynności.

Na szczęście, gdyż nowy wybuch mógłby zaskoczyć Gallijczyków w centralnym kominie, jedynej drodze, którą lawa mogła wydostać się na zewnątrz.

Na nieszczęście, gdyż w razie wznowienia się wybuchu można było natychmiast rozpocząć względnie łatwe i wygodne życie na wyżynach Ula Niny.

— Siedm brzydkich miesięcy spędziliśmy tutaj, mój kapitanie! — powiedział pewnego dnia Ben-Zuf. — Czy przypatrywałeś się przez ten czas naszej Ninie?

— Tak, Ben-Zufie — odpowiedział kapitan Servadac. — Jest to zupełnie wyjątkowa istota. Możnaby powiedzieć, że całe życie gallickie skupiło się w jej sercu.

— Dobrze, mój kapitanie, ale potem...

— Co potem?

— Potem, powróciwszy na ziemię, nie będziemy mogli opuścić tego kochanego dziecka!

— Mordieux! Ben-Zuf, przyjmiemy je za swoje!

— Brawo, mój kapitanie! Będziesz jej ojcem, a ja, jeżeli się zgodzisz na to, zostanę jej matką.

— A więc jesteśmy małżeństwem, Ben-Zufie.

— Ach, mój kapitanie — odpowiedział dzielny żołnierz — i to już oddawna niem jesteśmy.

Od pierwszych dni października zimna stały się prawie znośnemi, nawet podczas nocy, ponieważ powietrze było zupełnie spokojne. Odległość Gallii od słońca była już wówczas mniejszą od potrójnej odległości ziemi od swego środka przyciągającego. Średnia temperatura utrzymywała się na 30 do 35 stopniach poniżej zera. Bardzo często wdrapywano się do Ula Niny, a nawet wychodzono na zewnątrz. Koloniści bezkarniej teraz puszczali się na nadbrzeżną płaszczyznę. Znów zaczęto ślizgać się na łyżwach po tej cudownej powierzchni lodowej, którą morze tworzyło dla łyżwiarzy. Z jaką radością opuszczali więźniowie swoje więzienie. Każdego dnia także kapitan Servadac, hrabia, porucznik Prokop przychodzili rozpoznać stan rzeczy i rozprawiali o „wielkiej kwestyi przybycia na ziemię.“ Nie dość było zetknąć się z globem ziemskim, potrzeba było, jeśli podobna, zapobiedz wszelkim niebezpieczeństwom uderzenia.

Jednym z tych, którzy najdłużej przesiadywali w dawnem mieszkaniu, był Palmiryn Rosette. Kazał wnieść lunetę napowrót do swego obserwatoryum i tam prowadził dalej swoje badania astronomiczne, jak długo tylko zimno pozwalało.

Nie pytano go wcale o rezultat jego nowych obliczeń, gdyż wcaleby nie odpowiedział. Po kilku dniach jednak towarzysze jego spostrzegli, że zdawał się być niezadowolonym. To wyłaził, to złaził, znów wychodził, znów schodził i tak nieustannie odbywał wędrówki po ukośnym tunelu centralnego komina. Mruczał coś do siebie i klął, i był bardziej niż kiedykolwiek nieprzystępnym. Raz, czy dwa razy Ben-Zuf — odważny, jak wiadomo, a w gruncie rad bardzo z tego niezadowolenia, zagadnął groźnego profesora. Jak był przyjęty, nie da się to opowiedzieć.

— Zdaje się, myślał sobie, że tam w górze nie idzie coś tak, jakby on sobie życzył. Ale do stu Beduinów, byle tylko nie popsuł czego w mechanice niebieskiej i nas nie zbił z dobrej drogi.

Jednakże kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop mieli powody zapytywać siebie, co mogło do takiego stopnia rozdrażniać Palmiryna Rosette. Czy profesor sprawdzał swoje obli-

czenia i te nie zgadzały się z nowemi obserwacyami? Jednem słowem, czy kometa nie zajmował na swej orbicie miejsca, które mu wyznaczały przedtem obliczone tablice astronomiczne, i czy wskutek tego nie miał spotkać się z ziemią w punkcie i sekundzie oznaczonej?

Tego się ciągle najwięcej bali, a ponieważ ich nadzieje opierały się tylko na twierdzeniach profesora, więc widząc go markotnym, mieli powód lękać się wszystkiego.

Bo rzeczywiście profesor stawał się powoli najnieszczęśliwszym z astronomów. Widocznie obliczenia jego nie musiały być zgodne z obserwacyami, a dla takiego człowieka, jak on, nie mogło być większego rozczarowania. Dość, że za każdem zejściem do swego gabinetu, w trzech czwartych zlodowaciały wskutek zbyt długiego stania przy lunecie, doświadczał prawdziwego napadu wściekłości.

Gdyby komuś z bliźnich jego wolno było zbliżyć się wówczas do niego, to posłyszałby on następujące wyrzekania astronoma:

— Przekleństwo! Co to ma znaczyć? Co ona tam robi? Ona nie jest na miejscu wskazanem jej mojemi obliczeniami! Nędznica! Opóźnia się! Albo Newton jest szalony, albo ona oszalała! wszystko to jest przeciwne prawom powszechnego ciążenia! Cóż do dyabła! nie mogłem się omylić! Obserwacye moje są dobre, obliczenia również! Ach, przeklęta łajdaczka!

I Palmiryn Rosette brał głowę w obie ręce, i wyrywał sobie włosy, w które przecież nie obfitowała jego głowa. I ciągle, ciągle ten sam rezultat: ciągła i niewytłómaczona niezgoda pomiędzy obserwacyą a obliczeniem.

— A może — mówił do siebie — jakiś nieporządek wkradł się do mechaniki niebieskiej? Nie, to niepodobna! To ja się mylę! A przecież... przecież...

Rzeczywiście, Palmiryn Rosette schudł by był ze zmartwienia, gdyby mógł jeszcze schudnąć.

Jeżeli on doznawał zawodu, to wszyscy około niego byli niespokojni, ale na to astronom najmniejszej nie zwracał uwagi.

Jednakże ten stan rzeczy miał się skończyć.

Pewnego dnia, 12. października, Ben-Zuf, krążący koło wielkiej sali Ula Niny, gdzie znajdował się wówczas profesor, usłyszał wielki krzyk jego.

Ben-Zuf pobiegł do astronoma.

— Musiałeś pan sobie, bez wątpienia, coś złego zrobić — zapytał go tonem, jakim się mówi: — Jak się masz?

— Eureka! powiadam ci, eureka! — odpowiedział Palmiryn Rosette — trzęsąc się jak szalony.

— Eureka? — powtórzył Ben-Zuf.

— Tak, eureka! Czy wiesz, co to znaczy?

— Nie.

— No, to idźże sobie do dyabła!

— To jeszcze dobrze, myślał sobie ordynans, że p. Rosette zachowuje formy, gdy nie chce odpowiadać.

I poszedł sobie, tylko nie do dyabła, ale do Hektora Servadac.

— Mój kapitanie — powiedział — nowina.

— Cóż takiego?

— Uczony... No... „eurekną.“

— Znalazł... — zawołał kapitan Servadac.— Ale co znalazł?

— Tego ja nie wiem.

— A to właśnie potrzebaby wiedzieć!

I kapitan Servadac zaniepokoił się bardziej, niż kiedykolwiek.

Tymczasem Palmiryn Rosette schodził do swojej pracowni i mówił sam do siebie:

— Tak, to to... to nie może być co innego! Ach, nędznik!... Jeżeli tak jest, to drogo zapłaci!... Ale czy się zechce przyznać? Nigdy!... Musiałby w takim razie dać szyję!... Użyję więc podstępu... i zobaczymy!

Nie można było z tego nic zrozumieć, było tylko rzeczą widoczną, że od tego dnia Palmiryn Rosette zmienił sposób bycia z panem Izaakiem Hakhabut. Dotychczas zawsze albo go unikał, albo fukał na niego. Odtąd był zupełnie innym dla żyda.

Jakżeż to mogło nie dziwić mistrza Izaaka, mało przyzwyczajonego do podobnego traktowania. Profesor często schodził do jego ciemnego sklepiku. Palmiryn Rosette interesował się nim, jego osobą, jego interesami. Pytał go, czy dobrze sprzedał swoje towary, czy wielki zysk wpłynął do kasy, czy umiał skorzystać ze sposobności, która się może nigdy nie nastręczy, etc. etc. i te wszystkie pytania zadawał ze źle ukrywaną intencyą uduszenia żyda.

Izaak Hakhabut, niedowierzający jak stary lis — odpowiadał bardzo wymijająco. Ta nagła zmiana sposobu postępowania profesora względem niego mogła go łatwo zadziwiać. Pytał on siebie, czy Palmiryn Rosette nie myśli pożyczyć u niego pieniędzy.

Otóż, jak wiemy, Izaak Hakhabut w zasadzie nie miał nic przeciwko pożyczeniu, naturalnie na procent lichwiarski. I owszem, liczył nawet na to, że ten rodzaj operacyi pozwoli mu ciągnąć zyski ze swego mienia. Ale chciał pożyczać tylko na dobry procent, a — trzeba przyznać — tylko w hrabi, bogatym magnacie rosyjskim, widział człowieka, dla którego mógłby ryzykować. Kapitan Servadac musiał być goły, jak święty turecki, albo jak Gaskończyk! Co się tyczy profesora, to komuż kiedykolwiek przyszło na myśl pożyczać pieniędzy profesorowi! To też Izaak trzymał się odpornie.

Z drugiej strony żyd zmuszony był zrobić ze swoich pieniędzy użytek, bardzo wprawdzie ograniczony, ale tem nie mniej wcale dla niego niespodziewany.

W istocie około tego czasu sprzedał on Gallijczykom prawie wszystkie artykuły żywności, które stanowiły jego ładunek okrętowy. Nie miał tyle rozsądku, aby coś z tych rzeczy zachować dla siebie na własne pożywienie. Między innemi rzeczami zabrakło mu kawy. A kawa, choćby najoszczędniej używana „kiedy wyjdzie, to już jej nie ma,“ powiedziałby Ben-Zuf.

Zdarzyło się więc, że mistrz Izaak pozbawiony był napoju, bez którego nie mógł się obyć i musiał zgłosić się do powszechnego składu zapasów.

Po długiem wahaniu się powiedział sobie, że zapasy przeznaczone są dla wszystkich Galijczyków bez różnicy, że ma zatem takie same prawa, jak kto inny, i poszedł do Ben-Zufa.

— Panie Ben-Zuf — powiedział tonem najprzyjemniejszym na jaki się mógł zdobyć, — miałbym małą prożbę do pana.

— Mów Gobseku — odpowiedział Ben-Zuf.

— Potrzebuję wziąć z ogólnego składu funt kawy na mój osobisty użytek.

— Funt kawy! — zawołał Ben-Zuf. — Jak to? żądasz funta kawy?

— Tak, panie Ben-Zuf.

— Oho! to sprawa ciężka!

— Czyżby już nie było kawy?

— Kawa jest; jeszcze ze sto kilogramów.

— A więc?

— A więc, stary — powiedział Ben-Zuf, potrząsając głową w sposób niepokojący — nie wiem, czy ci będę mógł dać, czego żądasz.

—Daj pan, panie Ben-Zuf—zawołał Izaak— daj pan, a moje serce rozraduje się!

— Rozradowanie się twego serca jest mi nieskończenie obojętne!

— Jednakże nie odmówiłbyś pan, gdyby ktokolwiek inny...

— Ach, w tem sęk, że ty nie jesteś, jak ktokolwiek inny!...

— Więc jakże, panie Ben-Zuf?

— A no, odniosę się do Jego Excelencyi pana generał-gubernatora.

— Ach, panie Ben-Zuf, nie wątpię o jego sprawiedliwości...

— Przeciwnie, stary, właśnie jego sprawiedliwości obawiam się dla ciebie.

I z tą mało pocieszającą uwagą ordynans opuścił Izaaka Hakhabuta.

Palmiryn Rosette, ciągle czyhający, nadszedł właśnie w chwili, gdy Ben-Zuf i Izaak prowadzili z sobą tę rozmowę. Sposobność wydawała mu się dobrą do spróbowania szczęścia, więc natychmiast przystąpił do rzeczy.

— Co, mości Izaaku — powiedział — potrzebujesz pan kawy?

— Tak... — panie profesorze — odpowiedział Hakhabut.

— Więc wszystko sprzedałeś?

— Niestety! popełniłem ten błąd!

— Do dyabła! A przecież kawa jest potrzebną! Tak... tak... to rozgrzewa krew!

— Bez wątpienia... i w tej ciemnej norze nie mogę się bez niej obyć!...

— Bądź spokojny, mości Izaaku, dadzą ci ile ci potrzeba.

— Nieprawdaż, panie profesorze?... I chociażem ją sprzedał, tę kawę, mam przecież prawo do używania jej, jak każdy inny!

— Ale z pewnością... mości Izaaku... z pewnością... A dużo ci jej potrzeba?

— Tylko funt!... Ja się tak oszczędnie obchodzę!... To mi wystarczy na długo!

— A jak odważyć tę kawę? — zapytał Palmiryn Rosette, który mimowoli położył lekki przycisk na tych słowach.

— Moim bezmianem!... wyszeptał żyd.

I Palmirynowi Rosette wydawało się, jakby podchwycił lekkie westchnienie, wydobywające się z piersi mości Izaaka.

— Tak... — odparł... — bezmianem! Czy nie ma tu innej wagi?

— Nie — odpowiedział Izaak — żałując może swego westchnienia.

— Ech, ech, mości Izaaku!... To będzie rzecz dobra! Zamiast funta kawy dadzą ci siedm!

— Tak, siedm! to bardzo dobrze!

Profesor patrzał na żyda, przeszywał go wzrokiem. Chciał mu zadać pytanie... ale nie śmiał, myśląc, i słusznie, że Izaak nie powiedziałby mu prawdy, której on chciał się dowiedzieć za jakąkolwiek cenę.

Jednakże, nie mogąc powstrzymać swej niecierpliwości, już zaczynał mówić, gdy wtem nadszedł Ben-Zuf.

— No i cóż? — zapytał żywo Izaak Hakhabut.

— A cóż! Gubernator nie zezwala... — odpowiedział Ben-Zuf.

— Nie chce, żeby mi dano kawy! — zawołał Izaak.

— Nie, ale pozwala, aby ci jej sprzedano.

— Mnie sprzedawać, mein Gott!

— Tak, i to sprawiedliwie, ponieważ zgromadziłeś pieniądze całej kolonii. No, zobaczmy jakiego koloru są twoje pistole!

— Zmuszać mię do kupowania, kiedy inni...

— Jużem ci powiedział, że nie jesteś tym innym! No, kupujesz? Tak, czy nie?

— Łaski!

— Odpowiadaj, bo inaczej, zamknę sklep.

— No to kupię już — powiedział.

— Dobrze.

— Ale za jaką cenę?

— Tak jak nam sprzedałeś. Nie odrzemy ciebie. Skóra twoja nie warta trudu.

Izaak Hakhabut włożył rękę do kieszeni i poruszał tam kilka sztuk srebrnych.

Profesor stawał się coraz baczniejszym. Zdawało się, że czyha na słowa, które miały wyjść z ust Izaaka.

— Ileż mi — powiedział ten ostatni — każecie zapłacić za funt kawy?

— Dziesięć franków — odpowiedział Ben-Zuf. To cena bieżąca w Gorącej Ziemi. Ale cóż cię to może obchodzić, kiedy za powrotem na ziemię, złoto nie będzie miało żadnej wartości.

— Złoto nie będzie miało wartości! — odpowiedział Izaak. — Czyż to może być kiedy, panie Ben-Zuf?

— Zobaczysz.

— Nieśmiertelny niech mię wesprze! Dziesięć franków za funt kawy.

— Dziesięć franków. No cóż, skończysz, kiedy?

Izaak Hakhabut dobył wówczas sztukę złota, obejrzał ją przy świetle lampy, ucałował ją prawie końcem ust.

— A odważy się moim bezmianem? — zapytał tonem tak żałośnym, że obudzał podejrzenie.

— A czemże chcesz, żebym odważył — odpowiedział Ben-Zuf.

Potem, wziąwszy bezmian, przyczepił do haczyka szalkę i wsypał na nią tyle kawy, żeby skazówka stanęła na jednym punkcie — czyli siedmiu w rzeczywistości.

Izaak Hakhabut śledził oczami tę operacyę.

— Oto masz! — powiedział Ben-Zuf.

— Czy skazówka jest na właściwem miejscu? — zapytał handlarz, przechylając się nad instrumentem.

— A no patrz, stary Jonasie!

— Posuń ją pan troszeczkę palcem, panie Ben-Zuf!

— A toż na co?

— Ponieważ... ponieważ... — mruczał Izaak Hakhabut — mój bezmian może nie być... zupełnie... dokładnym!...

Zaledwie te słowa były wymówione, kiedy Palmiryn Rosette rzucił się na Izaaka i chwycił go za gardło. Potrząsał nim, dusił go.

— Łotr, krzyczał.

— Na pomoc! ratunku! — wołał Izaak Hakhabut.

Walka nie ustawała. Prawda że Ben-Zuf nie myślał rozbrajać. Przeciwnie, pobudzał walczących i parskał od śmiechu. Dla niego w gruncie rzeczy jeden tyleż był wart, co drugi.

Ale na hałas walki kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop przybyli zobaczyć, co się stało?

Izaaka i profesora oderwano od siebie.

— Co się stało? — zapytał Hektor Servadac.

— To się stało — odpowiedział Palmiryn Rosette — że ten urwis dał nam fałszywy bezmian, bezmian, który wskazuje większą wagę, niż rzeczywista.

— Czy to prawda, Izaaku?

— Panie gubernatorze!... tak... nie!... odpowiadał... tak!...

— To się stało, że ten złodziej sprzedawał na fałszywą wagę — ciągnął dalej profesor ze wzrastającą wściekłością — i że ja ważąc mego kometę jego instrumentem otrzymałem ciężar większy od rzeczywistego.

— Czy to prawda?

— Doprawdy... ja nie wiem... mruczał Izaak Hakhabut.

— To się stało nareszcie, że wziąłem tę fałszywą massę za podstawę nowych moich obliczeń, że te nie zgadzały się z mojemi obserwacyami, i że myślałem, iż ona nie jest na swojem miejscu!

— Ale kto... ona? Gallia?

— Ale nie! Nerina, do kata! Nasz księżyc!

— A cóż Gallia?

— Eh, Gallia jest zawsze tam, gdzie być powinna! — odpowiedział Palmiryn Rosette. Dąży prosto do ziemi... i my z nią!... i ten przeklęty Izaak!... niech go Pan Bóg skarze!

(C. d. n.)

WADY PUBLICZNEGO WYCHOWANIA

ZE STANOWISKA LEKARSKIEGO

PODŁUG DR. BAGIŃSKIEGO

napisał

DR. ADAM ZAGÓRSKI.

(Ciąg dalszy.)

Do trzeciej grupy wreszcie należą szkodliwe wpływy, wynikające z nagromadzenia wielu ludzi a specyalnie dzieci w zamkniętem miejscu. Jako szkodliwe następstwo tego są owe pierwiastki chemiczne, zanieczyszczające powietrze, o których już mówiliśmy. Musimy też jednak wspomnieć i o innych zmianach powietrza, które bardzo są ważne, chociaż nauka jeszcze tak daleko nie postąpiła, aby je zbadać chemicznie, lub za pomocą mikroskopu. Zmiany te stanowią przyczyny chorób zaraźliwych, panujących głównie w wieku dziecinnym.

Tu także należy jeszcze inny sposób rozprzestrzeniania się chorób, to jest naśladowanie (imitacya), które spostrzeżono przy tańcu St. Wita, padaczce, jąkaniu, zézie i td.

Lekarzowi otwierają się oczy na niebezpieczeństwa, jakie sprowadza dla dziecka uczęszczanie do szkoły, które nie daje się zrównoważyć z korzyścią dla ducha naszych dzieci, wypływającą z uczęszczania do szkoły.

Z kolei zastanowimy się nad chorobami, które z uczęszczania do szkoły powstać mogą i zaczniemy od cierpień ogólnego odżywiania. Chociaż zapatrywania nauczycieli i lekarzy na młodzież szkolną nie zawsze się zgadzają, nie da się jednak zaprzeczyć, że w kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego, pewne zmiany w dzieciach spostrzedz można. Dzieci, które rozpoczęły szkołę z rumianemi policzkami, bledną, chudną, stają się ociężałe, unikają rozmowy i zabawy, apetyt się zmniejsza, sen staje się nieregularny, dzieci często we dnie zasypiają, a w nocy śpią niespokojnie, wiele śnią i mówią przez sen. Rzadko się jednak trafia, żeby zmiana ta tak szybko nastąpiła, aby zaraz wzywać rady lekarza. Przebieg tych zjawisk bywa rozmaity, wiele dzieci przychodzi do siebie, apetyt, sen i żywość powraca; innym pomaga przerwa w naukach wskutek feryi. U innych jednak dzieci przypadłości stają się coraz groźniejsze, dzieci się skarżą na ból głowy, osłabienie, czasami bicie serca, powstaje zwykły obraz niedokrewności, lub bladaczki i trzeba się udać o pomoc do lekarza. Lubo zmianom tym nie można zaprzeczyć, nie wszyscy jednak oskarżają szkołę o wywołanie tej choroby, chociaż okoliczności za tem przemawiają. Uczęszczanie do szkoły zaczyna się prawie zawsze w początku 7-mego roku życia. W tym czasie nie miewa miejsca żadna zmiana fizyologiczna, która by nam wyjaśniła te chorobliwe objawy. Drugie ząbkowanie na to nie wystarcza, bo zwykle przechodzi bez żadnych ważniejszych przypadłości. Sprawa rośnięcia także nie ma wpływu na wywołanie niedokrewności. Siódmy rok życia nie odznacza się gwałtownem rośnięciem, ponieważ dziecko od 7mego do 14go roku rocznie prawie równo przyrasta od 4—5 cm.; toż samo co do przyrastania mózgu, bo przeciwnie w tym czasie w stosunku do przyrastania ciała mózg z tyłu pozostaje, gdyż w najpierwszej epoce życia najbardziej się rozwija. A więc fizyologia nie daje nam wyjaśnienia do tych zmian, które nawet nie w jednym wieku powstają, zależą bowiem od tego, w którym roku dziecko zaczęło do szkoły chodzić.

Z drugiej zaś strony chodzenie do szkoły przedstawia nam wiele punktów, które mogłyby wyjaśnić te zmiany chorobliwe u dzieci. Dziecko, przedtem wychowywujące się w domu, pod okiem i opieką ukochanych rodziców, niezależne w swoich ruchach i zajęciu, dostaje się raptem między obcych, musi siedzieć spokojnie na jednem miejscu, zajmować się nieznanymi dotąd przedmiotami i nie wolno mu jak przedtem przerzucać uwagi z jednego przedmiotu na drugi; wskutek tego obudza się w niem pojęcie konieczności i obowiązku. Wkrótce powstaje tęsknota za rodzicami, za rodzeństwem, za domem, co oddziaływa deprymująco na umysł. Zamiana zabawy na naukę jest za gwałtowną, bo brakuje czegoś przejściowego. Ztąd to powstaje brak ochoty do szkoły, gdy pierwsza ciekawość zostanie zaspokojoną; a cóż to za radość, gdy się do domu powraca. Nie wspominaliśmy jeszcze tutaj o szkodliwościach, wynikających z pobytu w szkole, ponieważ przypuszczamy, że szkoła odpowiada wszelkim warunkom hygienicznym. Lecz niestety tak nie jest, ani w zewnętrznych, ani wewnętrznych urządzeniach szkolnych. Najszkodliwiej oddziaływa w tym pierwszym okresie uczenia, że dziecko za wcześnie wstawać musi, że jest wiele godzin po sobie następujących, których bywa 3, a nawet i 4 prawie bez przerwy, przepełnienie klasy dziećmi i niedostateczna wentylacya. Jeżeli do tego jeszcze przyłączy się za wielka surowość niektórych nauczycieli, grożenie, a nawet i kary, to łatwo da się wytłumaczyć, że to wszystko wywołać może uszkodzenie odżywienia, a przynajmniej potrzeba bardzo silnej konstytucyi, aby się oparła tym wszystkim szkodliwym wpływom.

Zastanowimy się teraz nad sposobem, w jaki można te szkodliwości usunąć. Jeżeli się spostrze-

że, że dziecko w wyżej opisany sposób cierpi, należy mu ograniczyć liczbę godzin nauki, zwrócić uwagę nauczycieli, aby dziecko oszczędzali. Jeżeli w pokojach szkolnych dadzą się wykryć jakie szkodliwości n. p. za wysoka temperatura, zła wentylacya, za wielka liczba uczni, to należy się udać do władz z prośbą o pomoc. Gdyby zaś to się na nic nie zdało, to dziecko w domu pozostawić i do szkoły nie posyłać. Błędnem jest mniemanie, że odżywianie dziecka się poprawi przez gimnastykę, spacery, bieganie i tp.; za wielkie natężenie muskułów przy złem odżywianiu jeszcze więcej osłabi siły dziecka. Świeże powietrze jest dobre, lecz ruch tylko o tyle, o ile jest dziecku przyjemny. Zabawa, wesoła rozmowa wiele się także przyczyni do poprawienia humoru dziecka. Należy go odpowiednio żywić, w domu nie wiele się uczyć i nie wdawać się w żadne rozmowy z dorosłymi.

Chociaż nie da się zaprzeczyć, że do rozwinięcia skrofułów potrzeba dziedzicznej skłonności, przyznać jednak należy, że i szkoła wiele przyczynia się do powstawania tej choroby. Statystyczne materyały są bardzo szczupłe, jednak niewątpliwe. Tak np. Carmihael opowiada, że w jednej szkole wiejskiej, w której nie wolno było dzieciom podczas pauzy wychodzić, z 24ch dziewcząt 7 dostało skrofułów bez widocznej przyczyny. W jednej szkole w Noorwod znalazł Arrnolt jako przyczynę często trafiających się skrofułów u chłopców złą wentylacyą w klasach; pożywienie zaś było obfite i dobre.

Wielkie znaczenie w kwestyi szkolnej odgrywają skrzywienia stosu pacierzowego, które wielu gimnastyków uznaje za będące w związku z chodzeniem do szkoły i powstające wskutek złego siedzenia w ławkach; chociaż nie da się zaprzeczyć, że jeszcze dziś w tym względzie panują rozmaite zapatrywania między lekarzami. Rozróżniamy trojakie rodzaje skrzywień: skrzywienie stosu pacierzowego ku tyłowi, czyli właściwy garb, skrzywienie na bok, gdy jedna łopatka jest wyższa od drugiej, skrzywienie naprzód, czyli garb z przodu.

W jaki sposób powstaje garb pod wpływem szkoły, będę się starał w krótkości wyjaśnić z praw fizycznych stosu pacierzowego: Korpus nasz balansuje na osi łączącej stawy biodrowe; każde pochylenie głowy na przód, a więc przesunięcie linii ciężkości może być wyrównane przez odpowiednie skrzywienie stosu pacierzowego ku tyłowi. To się często w szkole trafia, jeżeli stoły przy których dzieci siedzą, nie są dostatecznie wysokie, aby przy normalnym wzroku można było dobrze widzieć w odległości 26—32 cm., dalej jeżeli jest zbyteczna odległość stołu od ławki, jeżeli ławki nie dają oparcia dla krzyżów, jeżeli oświetlenie za skąpe, druk za drobny, atrament za blady. Gdzie to ma miejsce, a prócz tego dziecko delikatne i osłabione, może się wywiązać pochyłe trzymanie dziecka. Pytanie jednak, czy taki garb pozostanie na zawsze? Niektórzy autorowie utrzymują, że jest wiele garbatych, którzy jedynie szkole swe kalectwo zawdzięczają (np. Parow 218 z 282 wypadków=79%.) Jeżeli się zastanowimy nad niektóremi rzemiosłami, to przekonamy się, że niemal każdy stolarz staje się z czasem choć w niskim stopniu garbaty, co pochodzi z nienormalnego trzymania się podczas roboty. Dla zapobieżenia tej nieforemności należy się starać o odpowiednie ławki, zmienić sposób nauczania, aby dwie godziny pisania lub robót ręcznych nie następowały po sobie, mieć odpowiednie światło w pokojach, duży druk w książkach i ciemny atrament. Częściej jak poprzednio trafia się skrzywienie stosu pacierzowego na bok, jako następstwo chodzenia do szkoły, a specyalnie skrzywienie w górnej części stosu na prawo, a dolnej na lewo. Przy rozwijaniu się tej nieforemności najprzód widać zmiany w położeniu łopatki prawej, ta odstaje i wydaje się za wysoka. Z początku chory czuje, że się źle trzyma i może jeszcze powrócić do zwykłej pozycyi; lecz nie na długo, bo to mu niewygodnie, więc znowu się zgina, aż wreszcie na zawsze tak pozostanie. Kalectwo to było powodem sprzeczki między badaczami pod względem przyczyny, która je sprowadziła; jedni obwiniali szkołę, a inni zupełnie nie. Zastanowimy się nad dowodzeniami pierwszych. Skrzywienie stosu na bok jest bezwątpienia chorobą, powstającą w wieku, w jakim się do szkoły chodzi. Eulenburg znalazł w 300 wypadkach takiego skrzywienia 225 uczniów. Parow na 75—27 itd. Guillaume utrzymuje, że przed 30—40 laty, kiedy jeszcze tak wiele w szkołach nie wymagano, nieforemność ta była o wiele rzadsza, a u ludów nieoświeconych wcale nie bywa. Sposób rozwijania się tej choroby tak sobie tłumaczymy: Jeżeli stół do pisania jest za wysoki, wtedy dziecko, aby go dosięgnąć, unieść się musi i opiera się prawym łokciem o niego. Cały korpus dźwiga z początku prawe ramię. Wkrótce jednak zabraknie mu siły, a nawet jest niemożebnem ramię używać za podporę, ponieważ takowe musi się swobodnie poruszać przy pisaniu; wskutek tego usuwa się lewe ramię ze stołu, lewa ręka trzyma się konwulsyjnie za róg zeszytu i brzeg stołu, i przez to lewa ręka i ramię dźwigają ciężar całego korpusu. Wtedy to powstaje skrzywienie stosu pacierzowego, wypukłe w górnej, a wklęsłe w dolnej części ku stronie prawej ciała. Ten rodzaj skrzywienia najczęściej się trafia. Dotąd mówiliśmy o stole za wysokim i za wielkiej odległości ławki od stołu, podobna zmiana formy może powstać i wtenczas, kiedy stół jest za niski, mianowicie, kiedy nie ma oparcia na plecy, jeżeli oświetlenie złe, a przedmiot wykładany nudny, nie zajmujący. Wtenczas powstaje pozycya garbata z opartemi obydwoma ramionami na stole; zwolna jednakże posuwa się w górę prawe ramię i wywiązuje się forma jak wyżej. Zdaje się, że dziecko stara się o podporę dla zmęczonego ciała i znajduje ją najłatwiej, jeżeli ugnie na bok stos pacierzowy, przez co niejako cały stos się unieruchomi; oprócz tego zmniejsza się odległość przedmiotu, który dziecko ma widzieć, bo korpus cały się skróci. Z tych to przyczyn może powstać skrzywienie stosu pacierzowego, jeżeli organizm dziecka jest poprzednio do tego przygotowany przez odziedziczenie chorobliwych własności skieletu i przez nieprawidłowe odżywianie. (Dok. nast.)

TRZY PYTANIA.

Czy będziesz kiedyś kochać dziewczynko?
Oczu twych blaski jeszcze dziecinne,
Na świat z figlarną spoglądasz minką,
I śmiechem dzwonią usta niewinne.

Ku dobru, pięknu, serce ci bije,
Czoło twe jasne czeka na życie;
Dumna jak śnieżne dolin lilije —
Czyli ty kiedy pokochasz, dziecie?

Na myśl tę płoniesz łuną szkarłatu,
Jednak, swawolna królewna,
Wiatru się pytasz, radzisz się kwiatu,
Czy będziesz kochać? niepewna.

* * *

Czyli ty kochasz? powiedz dziewczyno.
Wdzięczniejsza jeszcze twoja uroda,
Tylko ci z oczu łzy dziwne płyną,
Z czoła promieni dziwna pogoda.

Choć z ust dziecięce pierzchły swawole,
W słodszym się śmieją zachwycie,
Na szczęście braci, bratnią niedolę
Gorętsze serca masz bicie.

Tylko twych oczu głębsze lazury,
Tylko wesołość mniej płocha —
Ach, któryż z mędrców, z uczonych który,
Zgadnie dziewczynę, czy kocha?

* * *

Czyliś kochała? czyliś kochała?
Zgasł już twój urok dziewiczy;
Z cierpień przebytych cisza została,
I uśmiech smutnej słodyczy.

Skroń, dumną niegdyś, bole zorały,
Przedwczesnem srebrem połyska;
Lecz jako anioł przebaczeń biały
Liczysz swych marzeń zwaliska.

Uwiędła róża zanim opadnie
Tak wprzód ku ziemi się zgina —
Ach, kto ma serce, łatwo odgadnie,
Czyli kochała dziewczyna.

Iza.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

XXVIII.

Od hotelu Langa na ulicę Mickiewiczowską dla jadących powozem nie daleko, ale dla idących pieszo spory kawał drogi. Jest czas nawet dla ludzi najgwałtowniej wzburzonych ochłonąć nieco z gniewu.

Kapitan szedł pieszo — o fiakrze, którym był przyjechał, zapomniał zupełnie. Fiakier sądząc, iż taka jego wola, jechał krok w krok za nim.

Kapitan szedł powoli, a sapał przytem i tak gwałtownie robił piersiami, jak człowiek, któryby jednym pędem z wieży ratuszowej zbiegł aż na dół.

Było dla niego rzeczą aż nader pewną, że Mikołaj, korzystając z napadu szaleństwa swego stryjaszka, umknął, aby więcej nie wrócić, że zatem nadzieja wydania córki za posesyonata spełzła na niczem.

Nie wątpił również, że prędzej czy później dostanie Mikołaja w swoje ręce i kości mu poguchocze — ale na teraz nie myślał o tem.

Na rogu Majerowskiej ulicy przystanął nieco i zapytał sam siebie: czemu Mikołaj zerwał?... Ha, zapewne mu ktoś odradził. Może mu się jaka posażna nadarzyła partya. Może jaka hrabianka?... Dziunia nie umiała go skokietować! była taka zimna, obojętna! mimo ojcowskiego nakazu!... Ha, ta Dziunia! ona wszystkiemu winna!

Zaczął kląć. Ruszył szybszym krokiem naprzód.

Wtem przyszło mu na myśl: Po co ją Mikołaj zamknął w spiżarni? I to przed samym odjazdem, mając już niewątpliwy zamiar zerwania! W jakim celu?

— Ha!.. może to i prawda co powiedział Kajcio, że on ją tam zamknął z jakimś panem?

— Tod und Teufel! — i rozpuścił nogi krokiem podwójnym, jak do szturmu.

Fiakier musiał konie w kłus popędzić!

— Pewnie! pewnie tak zrobił!... Chciał mi córkę skompromitować tak, abym ja sam nawet nie mógł już od niego żądać dotrzymania słowa. Myślał, że nikt nie zobaczy go, jak zamykał spiżarnię i że się to nie wyda!.. Łotr! łotr nikczemny!... Ha, ja go zabiję! w łeb mu strzelę jak psu!...

Fiakier, jadący za nim, wyciągniętym kłusem gonił swoje szkapy, aby nie zostać z tyłu.

— Ale z kim on ją zamknął? z kim? z kim?... Mniejsza o to z kim! ja i temu w łeb strzelę!...

— Tak!... tak... hm, ale moja Dziunia nie pójdzie za mąż!... Ktoby ją teraz już chciał!... ha! ja jej także w łeb strzelę!... honor! mój honor!...

— A może ona nie winna temu nic?... To wszystko jedno! zhańbiona!... Chybaby ten się z nią ożenił, co z nią tam siedzi zamknięty!.. Musi! musi!... czy chce czy nie chce... musi albo kulą w łeb!...

— A jeżeli to kto żonaty?... Kulą w łeb jemu! jego żonie! jego dzieciom!... Ale nie, to musi być kawaler!...

— Ktoby to mógł być?... Konstanty?... Antoni?... Wacław?... Oberleitnant Krapaczek?... Koncepspraktikant Baładurewicz?... a niech tam będzie kto chce!... choćby... choćby i tanzmeister Kulka! musi się żenić!... Nieszczęście!... co ja za zięcia będę miał!...

— Aaa!... a gdybym ja za Mikołajem popędził do Wiednia?.. i przymusił go do powrotu?... Ba! czy ja go tam odszukam!... On zapewne tylko napisał, że do Wiednia jedzie z tym waryatem, a uciekł der liebe Herrgott weiss wo!... Wszak kelnerka mówiła, że pojechał sam! sam!... Haha! nie dość zabić: krajać go w kawałki! na ogniu piec! na pal wbić! kołem łamać!...

— A gdyby Dziunia czekała na niego? He, he, he! das geht nicht!... Skandal... Ona musi zaraz *żenić* się!

— A ten drab, co z nią tam siedzi w spiżarni... million!... ten mój przyszły zięć — czy wiedział on, że go Mikołaj tam zamknie z Dziunią? Ho, ho, pewnie stało się to z jego wolą!... Może on się chciał tylko pobawić! bass... a! ganz recht! ale on się teraz musi żenić! musi! musi!...

— A Dziunia czy wiedziała?... Eh! nie; nie mogła być w zmowie. Surowo wychowana, byłaby się bała, ona ma respekt przedemną... Ale zawsze winna! winna! Czemu się dała zamknąć!... o! winna i trzeba ją przykładnie ukarać!...

Zbliżał się już do swego domu.

— Jak się tam pokażę teraz między tą czeredą gości?... co ja powiem?... million! jaki wstyd! jaka hańba!

— Nie powiem, że wszystko zerwane... tylko, że Mikołaj musiał ze stryjem swoim pojechać! tak, na moją radę! i że już dziś ślubu nie będzie... aż za miesiąc. Gości pożegnam — a potem Dziunię wypuszczę... i tego draba... ho! dam ja sobie z nim radę!...

— Halt!... a jeśli oni już wiedzą, że ona tam zamknięta z jakimś drabem?... Feuer und Schwefel!

— Biada temu, coby się poważył śmiać!

Nasrożył marsa i wszedł pomiędzy gości.

XXIX.

Większa część gości zgromadzona była na ganku: pani Głuńska, pani sędzina, pani Belbauerowa, panna Sylwerya, panna Melania, pan Afrodziewicz, pan Tecudziński, pan Krapaczek, pan Baładurewicz, pan Kulka, pan Antoni, pan Wacław, pan Konstanty i t. d.

Dziwny wyraz mają twarze ludzkie, gdy się gdzie stanie coś skandalicznego, o czem jednak mówić nie wypada, choć wszyscy o tem wiedzą. Tem dziwniejsze miny, gdy konieczność nieunikniona nakazuje zawiadomić o skandalicznym wypadku osobę najbardziej interesowaną, a nie wiedzącą jeszcze o niczem; wszyscy tę konieczność czują, wszyscy chciwie oczekują chwili, w której „bomba pęknie“, a jednak nikt się nie może zebrać na odwagę, aby pierwszy wystąpił i „bomby“ owej, pęknąć mającej, się dotknął.

Takie miny mieli goście kapitana. Spostrzegł to zaraz. Mieliżby już wiedzieć o wszystkiem?

Wystąpił śmiało, po wojskowemu, brwi nasrożył i rzekł sucho:

— Mikołaj musiał pojechać z waryatem do Döblingu; ślubu nie będzie.

Milczenie. Wszyscy zwrócili oczy na pana Antoniego. Widocznie z jakiejś narady w czasie nieobecności kapitana wypadło, aby jemu powierzyć delikatną misyę udzielenia jakiejś przykrej wiadomości.

— Panie kapitanie! — rzekł Antoni drżącym nieco głosem, starając się mu jednak nadać ton zupełnej swobody: — Kajcio miał słuszność, pan Mikołaj istotnie dziwnego się dopuścił wybryku...

— Wiem! wiem! — krótko urwał kapitan, jakby na placu bitwy słuchał raportu sierżanta.

— Posłaliśmy po ślusarza...

— No, ale kto tam z nią zamknięty? — zapytał kapitan tym samym tonem co wprzódy.

— Pan Floryan.

— Million! — wykrzyknął kapitan, jakby go to imię bardziej niż każde inne przerazić mogło. Przypomniał sobie może dysputę jaką miał z Floryanem o braku ognia u dzisiejszej młodzieży.

— On sem teraz musi się ożenić z Dziunią! — wrzasnął tak głośno, że oboje zamknięci, ten srogi wyrok niewątpliwie w spiżarni usłyszeli. Jakie na nich wyrwał wrażenie — i jak się to wrażenie zamanifestowało — o tem niepodobna wiedzieć. Trzebaby ich się zapytać. Ale czyby chcieli powiedzieć?

— On sem teraz musi się ożenić z Dziunią! — powtórzył kapitan raz jeszcze, obracając się do żony.

— O, dla czegożby się nie ożenił! Szczęśliwy człowiek! — rzekł pan Tecudziński.

— Ja pewnie, że szczęśliwy! — dodała pani Belbaurowa.

— Ja wohl, to jest sem pewna rzecz! — Ale co dla niej za partya! eine Feuilletonistenfrau!... ph!... On nie ma nic! turecki święty!...

— Panie kapitanie! — odezwał się pan Antoni — ja się dla poczciwego Floryana wystaram może o jaką posadę... co?...

— Sehr verbunden! — dziękował kapitan z dość kwaśną miną. — Aber was heisst das taka posada, jaką on może mieć! Na chleb i na kartofle wystarczy, — a jeszcze jak dużo dzieci będzie — no!... Und sie wird gewiss viele Kinder haben!... Oh ta Dziunia! ta Dziunia! das dumme Mädel!... Będzie się ona miała zpyszna jak tylko ślusarz otworzy! million! czemu się dała zamykać!

— Sandor! — błagała za córką kapitanowa — cóż ona temu winna! biedne dziecko!...

— Winna!... Schweigen Fryziu!... ale niech teraz wie, co to bieda!... Musi iść za tego pismaka, musi! musi!... Bo i któżby się inny teraz jeszcze z nią chciał ożenić! leider!

Antoniemu nagle myśl jakaś zaświtała w głowie, — przestał mrugać oczyma i szeroko je otworzył:

— Czemu nie? każdyby się ożenił! co?... Przecież to jasne jak słońce, że panna Wanda niewinna jak gołąbek.. Któżby mógł wątpić co?... Każdyby się czuł szczęśliwym, gdybyście mu państwo taką córkę dali..

— Schmeichelei! panie Anton!... Z taką panną, co siedziała z drugim zamkniętą w spiżarni, niktby się już nie ożenił, gdyby to naprawdę o to szło...

— Ja pierwszy uważałbym się za szczęśliwego... słowo daję!...

— Słowo?

— Słowo honoru!

— Ja panu ją dam! — odrzekł kapitan bez namysłu.

— Dajesz mi pan kapitan słowo honoru na to?

— Mein Officiers wort!

Antoni komedyanckim ruchem padł mu w objęcia. Myśl, która mu zaświtała, była w głowie — została spełnioną. Wyrażona jasno i dobitnie, brzmiałaby ona tak: „lepiej wziąć cały spadek, niż połowę.“

— Więc panna Wanda moja!

— Kochany pan dyrektor! mein Schwiegerson! — wykrzyknął kapitan z rozjaśnioną twarzą. — A ja sem dawno już myślał, że to żona dla pana!...

Ślusarz kręcił już witrychem we drzwiach spiżarni, które się wnet otwarły.

Kapitan stał pierwszy w progu, — obok niego Antoni — za nim cisnęli się z ciekawością goście, aby obaczyć jak wyglądają owi więźniowie po dwugodzinnym karceresie.

Kapitan ujrzawszy Floryana, a obok niego córkę w ślubnym welonie, oblaną rumieńcem wstydu — a oczy spuszczone ku ziemi... brwi nastroszył i wąsy... i do gwałtownej bury i krzyku szeroko otworzył już usta..

Floryan nie czekał na to, lecz uprzedzając go, wystąpił śmiało naprzód:

— Zamknięto nas! — zawołał z akcentem oburzenia. — Panie kapitanie, wiem com teraz winien panu i pańskiej córce — i jako człowiek honoru proszę o rękę panny Wandy.

Kapitan z razu osłupiał. Spojrzał na córkę i na Floryana, na Floryana i na córkę, przypomniał sobie dane przed chwilą oficerskie słowo — i krzyknął:

— Nic z tego! ja córki nie daję za takiego, co nie ma jej co dać jeść. A honoru jej ja sam bronić potrafię jako ojciec!... Pan dyrektor pro-

sił mnie o jej rękę i ja mu dałem słowo. Pan Antoni jest mój zięć!... Dziuniu!

I pochwyciwszy ją gwałtownie za ramię, pociągnął ku sobie i ku Antoniemu, tak, że jej ręka nagle w ręku nowego narzeczonego się znalazła.

Rumieńce znikły w jednej chwili, a bladość śmiertelna je zastąpiła.

Pochyliła się ojcu do nóg jak kwiat podcięty.

— Ojcze!... wyjękła.

— Milczyć!

— Panie kapitanie! — zawołał Floryan rozpacznie — tak nie może być! Ja kocham pannę Wandę!... A panna Wanda...

Nie dał mu kapitan dokończyć.

— Wynoś się pan ztąd! ja twego kochania nie potrzebuję!

— Panna Wanda mnie kocha!

— Infame Lüge!... Wynoś się pókiś cały!... A za to kłamstwo porachujemy się z sobą!

I wrzeszcząc, co głosu stało, jedną ręką usunął tych, którzy stali przed drzwiami — a wszedłszy do spiżarni, groźnym ruchem wskazał Floryanowi drzwi. Z rozpłomienionej twarzy, z błyszczących dziką wściekłością oczu, z gestów dozwalających wszystkiego oczekiwać po jego niepohamowanej gwałtowności — wywnioskował Floryan, iż jeżeli chce, aby nieprzeparta między niemi nie urosła przeszkoda — najroztropniej będzie chwilowo ustąpić z pola. Wyszedł.

— Idę — rzekł — ale własny honor pański wymaga, abyś mi dał córkę!

— Million! Ja honoru bronić potrafię!...

Zemdloną Wandę cuciły w korytarzu kobiety. Matka trzymała jej głowę na kolanach. W ślubnym welonie, z tym mirtowym wianuszkiem na głowie — wyglądała biedna dziewczyna jak umarła.

Zatrzymał się chwilkę przed nią Floryan. Rozpacznie uderzył się dłonią po czole i jęknął z całej piersi.

W tej chwili nasunął mu się przed oczy pan Antoni.

— Odpowiesz mi pan za to! podły! — zawołał Florek z wyrazem najżywszej pogardy — i zbiegł ze schodów. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*„Skarb mojej cioci," powieść przez Aryę. Lwów, 1877.*)

Powieść ta była drukowaną w odcinku „Gazety Narodowej," potem wyszła w osobnej odbitce. Wychowanica, siostrzenica i dziedziczka pewnej bogatej cioci, starej panny, radaby się dowiedzieć, co się zawiera w pewnem hebanowem pudełeczku, które szczelnie zamknięte stoi w pokoju cioci. Ciekawemu dziewczęciu ciocia odpowiada, że to jest jej skarb; tego skarbu pokazać teraz nie chce, ale kiedyś może pokaże, jak siostrzenica urośnie i jeżeli to będzie potrzebne dla jej nauki. Chwila ta nadchodzi, Zosia (tak się nazywa siostrzenica) wyrosła i ktoś się jej oświadcza. Ten wypadek skłania ciocię Mizię do spełnienia dawnej obietnicy; przed pokazaniem jednak skarbu każe wysłuchać swej siostrzenicy historyą swego serca.

Historya ta, jakkolwiek stanowi właściwy temat powieści i zajmuje spory tomik, da się jednak streścić niemal w kilku słowach. Ciocia Mizia ma serce, które raz tylko kocha. Pokochała ona pewnego pana Kamila, który nie był jej wzajemnym i dla tego nie chciała potem nikomu ze starających się oddać ręki, dla tego została starą panną. Próżnię jednak staropanieńskiego życia umiała zapełnić doskonale: zajęła się siostrzenicą, jak córką, zajęła się losem swoich włościan, należała nawet do politycznych robót patryotycznych itd.

Opowiedziawszy cokolwiek za rozwlekle historyą swojego życia, ciocia Mizia pokazała nareszcie siostrzenicy swój skarb. Było tam parę zżółkłych listków, zeschnięty listek bluszczu, jakiś pierścionek złamany, portret ojca i — przedmiot zapewne najdroższy — miniatura pana Kamila.

Właściwego wątku powieściowego jest bardzo mało w „Skarbie mojej cioci"; cała powieść jest jednym tylko portretem kobiety wyższej charakterem i sercem od innych, i która właśnie dla tego nie była szczęśliwą. Wprawdzie tu i ówdzie do monotonnego a co gorzej rozwlekłego opisu uczuć cioci Mizi wprowadzone są sceny z jej życia, ale ponieważ z wyjątkiem cioci Misi wszystkie osoby występujące w tych scenach wyglądają strasznie blado, więc i sceny te nie budzą zajęcia, tembardziej, że zbyt luzem się ciągną.

Jednakże nie da się zaprzeczyć, że postać starej panny, takiej jak ciocia Mizia, jest w naszem powieściopisarstwie typem nowym, a co więcej pożądanym. Mamy w naszych powieściach i komedyach tyle tych stereotypowych starych panien z kanarkami, pieskami i kotkami, mamy ich tyle, że przestały być one zabawnemi, a stały się niesmacznemi. Z przyjemnością więc przeniesiemy wzrok od tych po większej części karykatur na trochę wyidealizowaną, ale nie pozbawioną barw prawdopodobieństwa postać starej panny w „Skarbie mojej cioci." *J. T.*

(*Piosenki i Gawędy humorystyczne, napisał M. Rodoć. Zeszyt VI. Kraków 1878.*)

Oto i nowy zeszyt piosnek pana Rodocia. Ponieważ charakter tych piosnek taki sam w tym zeszycie, jak w poprzednich, ponieważ tendencya u pana Rodocia jest zawsze jedną i tą samą, a o charakterze i tendencyi już przedtem obszernie pisano w Tygodniu, więc poprzestaniemy tu tylko na krótkiej wzmiance o wyjściu nowego zeszytu.

Od poprzedniego zeszytu odróżnia się nowy tem, że piosnki wchodzące w skład jego nie są polityczną, ale obyczajową satyrą, to jest tą, w której pan Rodoć celuje. Ośmielam się to powtórnie twierdzić wbrew gromom Ruchu literackiego.

Do najudatniejszych zaliczyć należy: „Zasady", „Boże, jak Ty rządzisz światem", „Jak brać losy za czupryny" i „Złota młodzież". W tych to piosnkach w szczególności potrzeba podziwiać zręczną formę pana Rodocia, który przytem nigdy się nie powtarza, zawsze umie przybrać jakąś rozmaitość, tak że nigdy piosnki jego nie występują w jednakowych sukienkach. Oto naprzykład jak zgrabną skroił i uszył sukienkę dla „Złotej młodzieży." Przytaczam pierwszą strofę:

Hej tam! komu ochota!
Baczność, Lwowie, Krakowie!
Podnoszę zdrowie!
Niech żyje młodzież złota!
Ona to pełna brawury,
Utkwiwszy głowy w rury,
W półłokciowym kołnierzyku,
Pokój czy wojna,
Mężna, strojna i zbrojna,
Zadaje ulicy szyku.

Kończy się zeszyt „Prośbą — piosnką," napisaną w tonie religijno-rzewnym, co stanowi przyjemny kontrast z satyrycznym tonem całego zeszytu.

Dowiadujemy się, że w Warszawie ma się niebawem ukazać w osobnej książce wybór obyczajowych piosnek p. Rodocia. *J. T.*

NOTATKA LITERACKA.

L'administration Turque dans les pays slaves et l'administration russe en Pologne Vienne. 1878.

Pomimo wysileń absolutyzmu, matactw dyplomatycznych i okrócieństw strasznych, któremi przemoc znaczy swe krwawe drogi, jeden naród po drugim zrzuca obrożę niewoli. Grecy, Belgowie, Serbowie, Rumuni, Włosi, Węgrzy odzyskują wolność polityczną; rozdarte Niemcy jednoczą się w jednolity narodowy organizm; Bułgarom otwiera się droga ku samoistnej przyszłości. Wszystko to się stało niemal w połowie jednego stulecia. Czyżby wymiar sprawiedliwości dziejowej miał się skończyć na tem? Cożby mogło usprawiedliwiać to zwątpienie? Jakkolwiek bowiem ponuro i smutno przedstawiałaby się chwila obecna, czyż nie widzimy, że podstawy, na których opiera się panowanie niesprawiedliwości, coraz bardziej chwiać się poczynają? Bądźmy więc dobrej wiary, wkrótce musi przyjść kolej i na sprawę polską. Głos Liebknechta w parlamencie niemieckim, żądający odbudowania Polski w imię sprawiedliwości i zagrożonej wolności w Europie, jest to odezwanie się batalionów robotniczych potężnego ludu, przeczuwającego rychłą zbrojną walkę z napastniczym potworem samodzierstwa i narodozdzierstwa.

Właśnie broszurka, wymieniona w tytule, przypomina Europie, że los Polaków wcale nie jest mniej godny politowania, aniżeli położenie, w jakiem się znajdowali Słowianie tureccy. Krzywda narodu polskiego tem jest dotkliwsza, że oświatą i poczuciem swojej indywidualności nie może się równać z biernym i ciemnym ludem Bułgaryi. Autor wylicza szereg rozporządzeń rządu rosyjskiego, któremi ten skrępował i rzucił Polaków pod nóż katowski. Nam są one znane, a przynajmniej powinny być znane; Europie zaś wypada jak najczęściej odświeżać je w pamięci.

Broszurka ta tem jest ciekawszą, że jest tłumaczeniem rosyjskiej. Zasługa jej wydania w francuskim przekładzie należy się redakcyi dziennika wiedeńskiego *Messager de Vienne.*

B. L.

Maćko Borkowic.

Dramat w 5 aktach Wincentego Rapackiego.

W niezwykłej liczbie zgromadziła się publiczność na przedstawienie tego dramatu w Krakowie, raz dlatego, że u nas obecnie wśród powodzi komedyi, rzadko dramat ukazuje się na scenie, powtóre, że to pierwszy dopiero dramat Rapackiego przedstawiony na naszej scenie, a Rapacki jako artysta dramatyczny zaszczytnie zapisał się w pamięci Krakowian, a w końcu pociągał do teatru sam bohater dramatu znany z obrazu Matejki całej publiczności, bo rozpowsze-

*

chniony w tylu odbiciach olejnych. Każdy rad był dowiedzieć się coś więcej o tej postaci, i ciekawy był zobaczyć, jakie momenta dramatyczne wyszukał autor w życiu rozbójnika-szlachcica i jak szczupły wątek kroniki rozsnuł na całe pięć aktów.

Autor przedstawił Borkowica jako człowieka żądnego sławy, stworzonego do miecza. Charakter namiętny, gwałtowny, rwie się do czynów, do boju, jak ryba do wody. To też mu duszno w pokojowej atmosferze spokojnych rządów Kazimierzowych, statuta Wiślickie wydają mu się pokrzywdzeniem praw szlacheckich, ujmą honoru rycerskiego; dla tego gardzi statutami, królem, a pociągniony przykładem sąsiednich Raubritterów niemieckich uciemięża chłopów, mieszczaństwo „podłe“ i napada wędrownych kupców wraz z krewniakami swymi. Nie mogąc być bohaterem na polu walki staje się rozbójnikiem, byle tylko niegnuśnieć w pokoju. Do tych gwałtów podżega jego i jego wspólników rodowa nienawiść ku Nałęczom stronnikom królewskim. Napiwonie lekceważą sobie władzę króla, którego pogardliwie nazywają *królem krakowskim*, lekceważą sobie panów krakowskich, nie mogą zapomnieć jeszcze tego, że kiedyś Wielkopolska górą była nad nimi, że tu był punkt ciężkości Polski. Podział kraju po śmierci Krzywoustego, rozterki wewnętrzne rozzuchwaliły Wielkopolskę o tyle, że niedawne złączenie dzielnic Polski przez Łokietka nie mogło jeszcze dostatecznie wdrożyć w nich poszanowania wspólnego władcy. Stan taki trwa jeszcze za czasów Kazimierza tem więcej, że król, który nie wojną, jeno rządnością, prawami chce ustalić potęgę narodu, wydaje im się słabym i zniewieściałym.

Takie jest tło historyczne, na którem namalował nam autor swego Borkowica wraz z szajką jego krewniaków. Są to Raubrittery niemieckie przetłumaczone na polski charakter, butni, ambitni, swarliwi, ze wszystkiemi wadami narodowemi. Wśród takich ludzi i wypadków pojawia się król Kazimierz. Prześlicznie a z całą wiernością historyczną przedstawił nam autor tego „króla chłopków,“ pełnego owej prostoty piastowskiej, w której rozsądek i uczucie w pięknej równowadze występują, pobłażliwego nieraz do słabości, ale nieugiętego w oburzeniu na podłość i zdradę. Widzimy go zaraz w początku pierwszego aktu wśród zielonych niw Wielkopolski, siadającego pod dębem, gdzie ma sądzić winnych. Niepoznany pod skromną szatą podróżną, jest on świadkiem łotrowskich czynów Napiwoniów i wzywa głowę ich Borkowica przed sąd, Borkowic staje na wezwanie, poskramia buntowniczą szlachtę, która chce się rzucić na „krakowskiego króla“ i korzy się przed majestatem „ostatniego Piasta;“ ale nie może się powstrzymać, by mu nie rzucić w oczy zarzutu, który zarazem ma uniewinnić czyny jego tj. Borkowica.

Coś ty zrobił z Polską? — pyta go z oburzeniem.
Patrz! Krzyżak podły plwa nam hańbę w oczy
I drwi z oręża. Tatar ziemie niszczy,
Litwin wycina w pień nasze dzielnice —
A cóż ty robisz — ty — Łokietka synu?
Kwilisz nad kmieciem lub bierzesz w obronę
Mieszczaństwo podłe. — Toć są królów sprawy?
Patrz! jam jest głową potężnego rodu
Co wieki Piastrów koronie szedł w służby —
Oręż mój sławny rdza pożera — a ja
Gnuśnieję marnie.

Na ten gwałtowny potok zarzutów król z powagą i siłą odpowiada, że

Nie wojną kwitną ludy, nie rozbojem,
Ale rządnością—spokojem i pracą —

a dalej:

Jam ład stworzył — jam życie burzliwe
Ujął w praw karby — i co mądrość ojców
Niepoprawną dłonią skreśliła — oczyścił,
I w statut zebrał i uczcić wam kazał;
A kto me prawa podepce — da głowę.

Musiałem przytoczyć cały ten ustęp, bo w nim jest streszczona główna myśl dramatu — walka siły z prawem — swawoli i buty szlacheckiej reprezentowanej w Borkowicu z władzą królewską.

Ku zdumieniu wszystkich, szczególniej Bartosza z Wyszemburga, król dopatrując w czynach i słowach Borkowica więcej krnąbrności, krwi wrzącej, niż złej woli i zbrodniczych zamiarów — oddaje mu rządy województwa mówiąc:

U ciebie krewkość nad rozumem rządzi,
Ale twe ręce jeszcze wolne zmazy —
Ja ci przebaczam — ja cenię ród mężny,
I zasług pełeń — ja pragnę cię widzieć
U szczytu sławy. — Służ jej — wolne pole —
Ale mi przysiądz musisz uroczyście,
Że będziesz wiernym królowi i prawu,
Sam dzielną dłonią powściągniesz rozboje,
Tych tu nędzników weźmiesz w karby silne.

Takie jest zawiązanie dramatu.

Borkowic wykonywa przysięgę na wierność, i w drugim akcie widzimy go już po powrocie z Krakowa obdarzonego władzą i złotym łańcuchem królewskim.

Ale nie widać zadowolenia na jego twarzy, czuje się spętanym łaską królewską, bezczynność męczy go, i gryzie go, że Napiwonie omijają jego zamek i z pogardą patrzą na królewskiego sługę. Chęć buntu wichrzy już w niespokojnem łonie jego, potrzeba tylko powodu, by wybuchła na zewnątrz. Ten powód wnet się znajduje. Dwaj jego krewniacy Skora i Sędziwój z nienawiści ku Nałęczom a i w chęci łupieży zażegli pożar w wioskach Wiszemburga, gniazda Nałęczów, a w obawie kary chronią się w zamku Borkowica. W ślad za nimi przybywa Benjamin z Woli, ulubieniec króla Kazimierza, także z Nałęczów rodu i żąda wydania winnych... Borkowic się waha — wydać krew swoją w swoim własnym domu i do tego jeszcze Nałęczom, wrogom, to wydaje mu się potwornem. Jedno słowo Benjamina, które drasnęło jego dumę, popycha go do stanowczego czynu, drze pergamin królewski, a posła kazał wpakować do turmy. Następne dwa akta są rozwinięciem tego buntowniczego wystąpienia przeciw władzy królewskiej; Borkowic zerwawszy raz pęta brnie w zapamiętałości ze zbrodni w zbrodnię, która dosięga szczytu w zamordowaniu Benjamina. Dla wytłumaczenia tej śmierci trzeba nam wspomnieć o córce Borkowica Bognie i jej miłości do Benjamina. Miłość ta, najsłabszy może moment w całym dramacie, trochę za chłodno przez autora traktowany; ale niemniej konieczny ze względu na wpływ, jaki wywiera na przebieg akcyi.

Otóż Benjamin przybywając z królem pod Kaźmirz, poznał przypadkiem w lesie córkę Borkowica, spotkanie to zostawiło swój w sercach obojga, a mamka Bogny, stara wróżbiarka, rozdmuchuje tę iskrę, co wpadła w serce Bogny z oczów Benjamina, bo ma nadzieję tym sposobem pogodzić powaśnionych Nałęczów i Napiwoniów. Uwięzienie Benjamina krzyżuje jej plany, ale Bogna, wiedziona miłością, a nadto chcąc złagodzić nieludzki czyn ojca, idzie oswobodzić Benjamina i wypuścić go z zamku tajemnem przejściem. Na nieszczęście ojciec zawcześnie jawi się w więzieniu, a widząc córkę swoją w objęciach wroga, w zaciekłości rzuca się na niego i zabija.

To zabójstwo rzuca już nieprzebytą przepaść między nim a królem, bo Benjamin to ulubieniec króla i poseł — śmierć jego zamknęła mu już drogę do przebaczenia, wie że już nie ma dla niego żadnego ratunku, że trzeba tylko bronić się do upadłego i zginąć, o zwycięstwie nie marzy, bo liczne wojska królewskie obległy już zamek, a z jego stronników wielu cofnęło się, a niektórzy nawet o zdradzie zamyślali, jak Skórka i Sędziwoj, dla których i przez których właściwie wystąpił przeciw królowi. Cała nadzieja Borkowica leży tylko w synu.

Tyś dziś głową rodu
Wszech potężnego, dzierżyj że go chlubnie;
Dajęć w spuściźnie klejnot dziadów drogi,
Walcz zań, za prawa, za swobody nasze.

Ale syn ginie na murach zamku, gdzie walczył obok ojca, a umierając przeklina ojca. Ten cios go łamie, chce już tylko umrzeć z własnej ręki, by nie wpaść w ręce królewskich, którzy w tej chwili zdobyli zamek. Borkowic rzuca się na swój miecz; ale miecz wyrwano mu; wzięto go w niewolę. Ostatni akt jest jakby illustracyą do obrazu Matejki i przedstawia karę Borkowica, jaką poniósł na zamku w Olsztynie. Zasądzony na głodową śmierć staje odważnie z krnąbrnym uporem i butą na drabinie, po której ma zejść do lochu; około niego grupują się Bartosz z Wiszemburga z wyrokiem w ręku, ksiądz, paź, kat i pomocnik kata podtrzymujący otwartą kratę lochu, zupełnie wiernie podług obrazu Matejki; ale nie zakończył na tem dramatu autor. Bo w chwili, kiedy Borkowic ma schodzić do lochu i rzuca ostatnie spojrzenie do koła, oczy jego spotykają córkę, co za nim przywlokła się tutaj. Bogna to nie mdła melodramatyczna postać, znać po tem, co mówi i robi, że to córka Borkowica, że w niej krew gorąca, ale krewkość ta miarkowana jest religijnym wpływem księdza Gwidona, który ją wychowywał. To też jakkolwiek w pierwszej chwili po stracie kochanka rozpacz jej wybucha oburzeniem przeciw jego zabójcy a własnemu ojcu; później jednak burza ta cichnie w modlitwie, obowiązki córki biorą górę nad zemstą kochanki i Bogna spieszy za ojcem na Olsztyn, rzuca się do nóg króla, a nie mogąc wyżebrać od niego łaski dla ojca, w niemej boleści oczekuje strasznej chwili spełnienia wyroku. Borkowic wyrzekł się był córki, że ośmieliła się kochać wroga, chciał nawet zabić ją w chwili oburzenia; ale teraz kiedy ma zstąpić żywcem do grobu rodzicielskie uczucie ocknęło się w nim i wyciągając ręce do córki zawołał: Bogno! Trzeba być bardzo obojętnym widzem, aby ten wykrzyk nie wstrząsnął wszystkimi nerwami. To też podczas tej sceny uroczysta cisza panowała w sali teatralnej, a okrzyk ojca przejął dreszczem słuchaczów. W tej chwili bowiem odsłania się przed nami szlachetniejsza strona Borkowica i to jedna mu jeżeli nie sympatyę, to pewne współczucie. Więcej jeszcze odsłaniają się ludzkie uczucia w ostatnich słowach, które mówi do córki:

Co teraz poczniesz biedna dziewko, biedna?
Tyś już ostatnia z mego rodu —
Żyć będziesz wzgardzona
Poniewierana i deptana srodze.
Masz! to środek pewny,
Dla siebiem chował, lecz oddaję tobie.

Ten środek to trucizna, chował go dla siebie, by nim skrócić sobie męki powolnego konania, ale troskliwość rodzicielska okazała się silniejszą nad obawy długich mąk i truciznę oddaje córce.

Śmiercią Bogny kończy się dramat.

Z podanej treści czytelnik sam może sobie bez podpowiadania sprawozdawcy wyobrazić, jak żywo rozsnuwa się akcya. W sztuce dramat ten pod względem sceniczności przewyższa „Wita Stwosza“ a tem więcej „Kopernika“. W tamtych akcya odbywa się więcej wewnątrz osób działających, w sferach ducha, tu ma ciało, ma krew, silne namiętności występują widomie do walki, i dramat ma całość organiczną, czego o poprzednich nie możnaby powiedzieć. Charaktery są wybitnie, dosadnie nakreślone a z wiernością historyczną. Szczególniej postacie Kazimierza i Borkowica są mistrzowsko odlane; występują one tak plastycznie, że wszystkie inne bledną wobec nich, a choć król występuje tylko w pierwszym i ostatnim akcie, niemniej stanowi jednę z najwięcej po Borkowicu wykończonych postaci. Dwa typy szlachty Napiwoniów Skórki i Sędziwoja, acz na drugim planie grubym a śmiałym pędzlem są rzucone. Wyborną także jest postać starego sługi Dobka, który przez długie lata służby zżył się tak z tradycyami domu Borkowica, że stał się niejako odzwierciedleniem wad i cnót jego. Sierdzisty to i zacięty staruszek, stary „Puszczyk“, jak go nazywa Borkowic. W grze p. Wojdałowicza nie wielka ta rola stała się wyrazistą i charakterystyczną. Najsłabiej, jak powiedziałem wyżej, traktowane są sceny miłośne, a Benjamina charakter szczególniej w stosunku do Bogny mało ma wyrazistości i siły. Scena w więzieniu jest stereotypowem powtórzeniem tego, co się już wielekroć widziało w innych dramatach i romansach średniowiecznych i cała ta scena, jak i miłość sama służy jedynie do tego, aby Borkowica popchnąć do czynu zbrodniczego, za który ponosi karę.

Dramat ten wymaga wystawy o wiele lepszej, niż się może na to zdobyć teatr krakowski; szczególniej akt czwarty, który przedstawia zdobywanie zamku Borkowica, walkę na murach, wdzieranie się wojsk królewskich, tu był zaledwie naszkicowany. Postać króla także straciła wiele w grze p. Łucyana, który nie umiał podnieść charakterystycznych cech tej wspaniałej postaci, a w ostatnim akcie był płaczli-

wym, tam gdzie wzruszonym być powinien, mało królewskiej powagi w nim było. Za to p. Rychter rolę Borkowica oddał z taką siłą i ogniem, która wzruszyła i zachwyciła nie tylko publiczność, ale i autora, a wiemy jak trudno jest zadowolnić autora, a szczególniej gdy ten jest zarazem takim artystą, jak p. Rapacki. Szczytem gry p. Rychtera był ów wykrzyk w ostatnim akcie: Bogno! — Pani Siennicka jako Bogna miała dużo uczucia i ognia, tylko głos jej nie dorastał do szerokiej skali dramatycznej, a raczej artystka wdrożona do salonowej komedyi, nie umie go w dramacie odpowiednio używać, ztąd wiele miejsc pięknych przeszło niepostrzeżonych. Siennicki (Sędziwoj) i Galasiewicz (Skórka), jakkolwiek nieco za szorstko i za trywialnie, ale z humorem i jaskrawą wyrazistością odtworzyli postacie rozbójniczej szlachty. Wróżka nie psuła całości, a miała miejsca, szczególniej przydłuższe opowiadanie o nienawiści Nałęczów i Napiwoniów, godne uznania. Niewłaściwie trochę, że rolę pazia objęła kobieta, zwyczaj to praktykowany po wszystkich niemal scenach ze szkodą prawdy. Tu może wypadło to i z konieczności; i panna Stachowicz była tak powabnym paziem, że co straciła rola na prawdzie, to zyskała na wdzięku, a dykcya nic do życzenia nie zostawiała. Znać w dobrej szkole studyowała panna S. deklamacyą i dla tego w dramatach z powodzeniem grać będzie.

Na zakończenie dodać muszę, że publiczność tak zwykle leniwa do oklasków, tym razem po każdym akcie wywoływała autora, który z Warszawy przybył na to przedstawienie.

Kraków d. 4. kwietnia 1878 r. *M. B.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 11. kwietnia.

Od niejakiego czasu wszystko tak jakoś kwasi się na świecie, aby nam tylko dokuczać i psuć nadpełtwiańskie humory. Niby to mamy wiosnę, skutkiem czego elegancka młodzież poskładała już swe futra do różnych od móli bezpiecznych zakładów—a tu na drugi dzień Święty Dyonizy, wziąwszy do niewoli śgo Marcina, na jego siwym koniu przyjechał sobie do Lwowa i tnie siekańcem po pięknych twarzach Lwowianek wywołując zimowe rumieńce. A c. k. prokuratorya na to nic, śgo Dyonizego nie pociąga do odpowiedzialności, lecz uchyliwszy głowę przed wyższą siłą każe palić u siebie w piecu skonfiskowanemi w dobrych czasach artykułami gazet naszych. Że ta niestałość pogody jest w zupełnej harmonii z również niestałem położeniem europejskiej sytuacyi — to dowodzi, że sam p. Bóg sprzyja i aprobuje wszelką chwiejącą się politykę, która ma bardzo wiele podobieństwa do owych członków klubu Pikwika, przypatrujących się zanadto blisko ćwiczeniom kawaleryi. Weszli oni między dwa oddziały konnicy, a nie mając odwagi rzucić się na bok, przez całe pół dnia kłusowali przed zmieniającym się nieustannie frontem szarżujących oddziałów. Tymczasem z petersburgskiej arki wypuszczono gołębią postać hr. Ignatiewa dla odszukania nad brzegami modrego Dunaju oliwnej gałązki. Gołąbek krążył i krążył z otwartym dzióbkiem, ale wojownicze wody nie opadły jeszcze w Wiedniu, zatem wyciągnięto rękę z arki i biedny gołąbek schował się znowu. Żeglujemy tedy bez kompasu i sondujemy czy tam nie głęboko są szczyty Araratu, aby raz przecie osiąść na pewne..

W ciągu tego czasu, jeden tylko wypadek zaszedł w Europie godzien uwagi, potężna większość Koła polskiego w liczbie czterech pogardziła mlekiem matki, i ma wielką ochotę popróbować własnych skrzydeł. Zdaje nam się, że to jeszcze za wcześnie; bo na górach samych za wiele tych starych pleśni i dąbrowa nie sucha. Wprawdzie Lolo, (komedya grywana w lwowskim teatrze) zachwiał już podstawy systemu edukacyjnego w Galicyi, jak twierdzi „Gazeta Narodowa“, lecz wypadałoby zaczekać na obiecanych jeszcze kilka przedstawień, aby nowa teorya, idąc porządkiem naturalnym, mogła dzisiejszą dziatwę zamienić na mężów — a my tych mężów wysłali do Rady państwa, wtedy i w Kole odwrócą się stosunki i większość nie będzie nigdy miała więcej nad cztery głosy. Dopóki jednak to nie nastąpi, żal nam rycerzów wojujących z wiatrakami; — wszelkie wewnętrzne spory w łonie naszego Koła, bardzo ujemnie oddziaływują na bieg spraw naszych zwłaszcza w tej chwili, gdy zgoda okazuje się najpotrzebniejszą(!). Dla tego sądzimy że do zerwania solidarności nie przyjdzie i że obie strony coś sobie wzajemnie ustąpią, powiedziawszy mea culpa.

Namawiając wszędzie i zawsze do zgody, chcielibyśmy, aby i czytelnicy nasi zgodzili się na poparcie gorętsze, niż dotąd budowy kopca Unii, który ma wielką ochotę pokazać swoją czapkę całej Galicyi... Spoglądając na jego zaniedbanie, myślimy zawsze o znikomości upodobań ludzkich... Pamiętamy przed dziewięciu laty, cały Lwów jak jeden człowiek wyległ na górę Wysokiego zamku dla rozpoczęcia sypania owego kopca, dziś poszedł on w zapomnienie jak podstarzała kochanka, przy której już literalnie pozostał jeden tylko adorator Dr. Franciszek Smolka. Niestrudzony, niezrażony pcha on dalej swoją taczkę coraz wyżej... dla tego darujcie czytelnicy że poważymy się zwrócić waszą uwagę, iż temu jednemu cokolwiek za ciężko... Czyby to nie można tak jakoś w delikatny sposób sięgnąć do waszej kieszeni dla odszukania zbytecznego guldenka na najem robotników i murarzy, jakich już potrzeba dla dalszych prac przy kopcu? Pomijając to, że jakoś nie pięknie jest opuszczać dawną faworytkę naszą, co zwykle jest dowodem niestałości charakteru. to jednak przyszły kopiec będzie ponoś najtrwalszą pamiątką ofiarności i patryotyzmu dzisiejszego pokolenia, symbolem tej jedności Rusi z Koroną, za którą obstawaliśmy tyle wieków i dziś jeszcze obstajemy.

Kopiec Unii, który względom publiczności polecamy, naprowadza myśl na nową unię literacką, jaka się we Lwowie przygotowuje pod formą przyszłego kassyna literackiego i Towarzystwa wzajemnej pomocy pod hasłem: „Bieda biedę wspiera“. Jeżeli Unia lubelska przyszła do skutku, dla czegóżby i Unia literacka we Lwowie miała być marzeniem? A że literaci porozbijani na liczne obozy potrzebują pewnego zbiorowego punktu, rodzaj kopca, gdzieby mogli podać sobie wzajemnie ręce i pracować wspólnie dla dobra kraju, o tem nikt nie wątpi. Szereg odczytów na ten cel odbyć się mających, rozpoczął p. Jan Lam, rozgłośnej sławy humorysta polski, który po raz pierwszy wobec licznie zebranych słuchaczy opowiedział dzieje trzydziestoletniej wojny miasta Lwowa, jaką ten gród starożytny w latach od 1648 do 1678 staczał z napadającemi go hordami kozaków i tatarszczyzny. W półtora godzinnej pełnej werwy, i dowcipu pogawędce, pan Lam dał dowód, że niepospolity posiada talent odtwarzania przeszłości naszej. Zestawiając szcz-góły charakteryzujące ówczesną sytuacyę miasta i ludzi zajmujących w zarządzie wybitniejsze stanowisko, pan Lam potrafił to wszystko zestawić w ten sposób, że słuchający powoli schodząc myślą do owej epoki, znaleźli się wśród ulic Lwowa przed dwustu laty i byli naocznymi świadkami przypuszczanych szturmów przez hordy Chmielnickiego i sprzymierzonej z nim tatarszczyzny. — Przedmieścia padły ofiarą, lecz sam Lwów wytrzymał ataki, opłaciwszy się najezdzcy znaczną kontrybucyą.

W dalszym ciągu takich odczytów, p. Fiszer, artysta dramatyczny tutejszego teatru, odczyta wesołą humoreskę autora „Kłopotów Starego Komendanta,“ pan Ochorowicz również powie coś o humorze, a p. Ładnowski da studyum z Szekspirowskiego Hamleta. Sądzimy, że tego rodzaju nowość prelekcyjna, nowość mogąca przyjemnie i wesoło zająć słuchaczów przez całą godzinę, będzie równie dobrze przyjęta od publiczności lwowskiej jak pierwszy odczyt p. Lama, który do trzystu słuchaczy zgromadził w ratuszowej sali. Zresztą przyznacie czytelnicy, że należy się też coś od was i literatom. Jeżeli oni pracami swemi tyle wam już przysparzają przyjemności, czasem rozweselą, czasem ogrzeją, czasem nauczą — prosta grzeczność wymaga odwdzięczyć się im, skoro podobno raz pierwszy zapraszają was na swój wspólny benefis. Spojrzyjcie na Warszawę; ledwie że wyszedł pierwszy tom wydawnictwa jubileuszowego dla Kraszewskiego w siedmiu tysiącach egzemplarzy, już nakład rozsprzedany, i przygotowuje się druga edycya... Nie wszyscy wprawdzie mogą rościć takie pretensye do zasług, jakie czcigodny jubilat pozyskał w narodzie, ale też i tym małym pracownikom lwowskim coś się należy, choćby zawiązek na pierwsze potrzeby Towarzystwa wzajemnej pomocy.

Teatr nasz jak zwykle nie próżnuje, dla autorów i artystów jest on Saturnem zjadającym najwyżej na dwa, trzy dania swoje dzieci. Komedye, dramaty i tragedye zmieniają się w nim ciągle jak te widoki w panoramie z tą tylko różnicą, że w panoramie bardzo często wraca taż sama serya, a w teatrze rzadko się ta operacya udaje. Obecnie benefisa artystów są na porządku dziennym, na których pani Parżnicka w tym tygodniu wybrała sobie „Joannę która płacze i Joannę która się śmieje.“ Po debiutach panny Ehnn i panny Mantilli, zapowiada nam przybycie swoje dawna panna Artot, obecnie Padilla, której śpiew łabędzi, podobno będzie podwójnie łabędzim dla niej już kwalifikującej się do emerytury i dla opery, której dni życia mają być policzone. Część artystów dramatycznych dla użycia przymusowych wakacyi, ma dawać na swoją rękę przedstawienia w warszawskim Eldorado. Szczęśliwa ta Warszawa, ma swoje Eldorado, bodajby i artyści nasi znaleźli tam tyle złota, żeby za powrotem mogli tu używać błogiej szczęśliwości.

Bank włościański, ten wielki zakład filantropijny dla małej własności, w tych dniach obliczył swoje kieszenie. Wśród powszechnej biedy i stagnacyi interesów, pokazuje się, że najlepiej jeszcze mieć do czynienia z ubogiemi w duchu. Kapaniną przychodząc w pomoc trapionej przez lichwę ludności, uciułał sobie dość spory kapitalik zakładowy 128.522 florenów, — no a i zysk czysty w roku 1877 doszedł sumy 245.509 zł. 15. Jest to nie tak wiele na te ciężkie czasy, jeżeli się zważy, że wkładki udziałowe od członków wynosiły w roku ubiegłym 687.822 złr., a Bank przez dziewięć lat swego istnienia sprzedał w drodze przymusowej tylko 987 gospodarstw rolnych, któ-

rych dawni właściciele poszli albo na grzyby, albo do Ameryki. Za to na przyszłość zniżono zalegającym w opłatach rat procent z 15, który dotąd pobierano na 12%. Czyżby to było skutkiem wydania nowych przepisów o lichwie?

* * *

Opuścił prasę zeszyt 132 *Dziejów powszechnych Szlossera*, z zeszytem tym ukończony został druk tego cennego dzieła. Wydawnictwo dla zaokrąglenia całości wyda jeszcze parę zeszytów zawierających przegląd najważniejszych wypadków od 1848 do 1875 r. i rozeszle takowe prenumeratorom *Szlossera* bezpłatnie.

Jest to największe z wydawnictw „Księgarni Polskiej“ i największe z wydawnictw polskich w ogóle od czasu Encyklopedyi Wielkiej wydanej przez Samuela Orgelbranda, a składającej się z 28 dużych tomów.

Podnieść tu przedewszystkiem musimy wyborne tłumaczenie, rozumie się względnie do objętości dzieła, którego nie mogła dokonać jedna osoba, czystą polszczyznę, poprawność, dokładność, staranną redakcyę, co wszystko znakomicie podnosi wartość dzieła.

Przekładu dokonali znani w literaturze naszej autorowie: pp. Włodzimierz Górski, Bronisław Komorowski, Władysław Kozłowski, Józef Tretiak, Aureli Urbański, prof. Włodzimierz Waligórski, dr. Bolesław Limanowski, Wincenta Limanowska, prof. Czesław Pieniążek.

Wydawca, jak wiadomo, przeznaczył całkowity czysty dochód na cele oświaty ludowej. Dochód ten przyniesie kilkanaście tysięcy złr. i gdyby znaczna liczba prenumeratorów, a przedewszystkiem prenumeratorów lwowskich nie zrobiła zawodu wydawnictwu, dekompletując kilkaset egzemplarzy i zalegając z opłatą kilkunastu tysięcy złr., już dziś znaczna kwota przewyższałaby rozchód.

Sądzimy, że publiczność zechce skorzystać z ostatnich tygodni, w których dzieło powyższe można jeszcze nabyć w cenie prenumeracyjnej i pospieszy z zamówieniami. Cena prenumeracyjna ustanie z wyjściem z druku tomu 22 — co nastąpi z końcem kwietnia.

Wydawnictwo *Dziejów powszechnych Szlossera*, dokonane przez firmę młodą, niezamożną, wobec ogólnej nieufności w dojściu do skutku przedsięwzięcia, wobec niechęci i intryg, dowodzi, czegoby to u nas nie można było zrobić połączonemi siłami. Jeżeli zapowiedziana współka księgarzy lwowskich w celu wydawnictwa książek ludowych rozwinie należycie swoją działalność, można spodziewać się obfitych owoców dla kraju, można oczekiwać stanowczego wpływu na rozwój oświaty ludowej. Tymczasowo jednak obojętne, a raczej niechętne przyjęcie wiadomości o tej współce ze strony dziennikarstwa, i zachmurzony horyzont polityczny, grożący w każdej chwili wybuchem wojny, który pożar i nasz kraj objąć może w pierwszym rzędzie, powstrzymały szlachetne projekta księgarzy lwowskich w samym zawiązku. Wiemy jednak, że zamiar nie upadł i przy pierwszej możności projekt do skutku doprowadzonym będzie.

* * *

Gazeta Toruńska podniosła potrzebę urządzenia zjazdu dziennikarzy pod zaborem pruskim. Myśl tę podzielamy w zupełności. Chcielibyśmy tylko, aby ten zjazd był ogólniejszym i nie ograniczał się na same Prusy. Właśnie mija lat dziesięć od ostatniego zjazdu, który miał miejsce w Krakowie w 1869 r. i byłoby bardzo na dobie ponowić takowy bądź w Krakowie, bądź we Lwowie, bądź w Poznaniu. Tyle jest spraw, które wartoby było poruszyć, omówić, a przytem samo poznajomienie się ludzi w jednym zawodzie pracujących przedstawia się bardzo ponętnie. Spodziewamy się, że myśl zjazdu znajdzie powszechne uznanie i wszyscy interesowani zechcą ją poprzeć i do skutku doprowadzić, byleby ktoś wziął w tem inicyatywę. Z wieku i z urzędu należy ona do redaktora „Gazety Narodowej.“

TEATR.

(Narcyz Rameau, benefis p. Ładnowskiego. Joanna, która płacze i Joanna, która się śmieje, benefis p. Parżnickiej.)

Dwóm benefisom: p. Ładnowskiego i pani Parżnickiej zawdzięcza publiczność lwowska wzruszenia, od których odwykła, a których widocznie pożąda, gdyż od dawna już nie była tak ożywioną, tak rozklaskaną, jak na owych dwóch przedstawieniach. Mówimy tu o wzruszeniach, które daje dramat, od niejakiego czasu usunięty z naszej sceny i tylko ukradkiem na nią, drogą benefisów wprowadzany. Dzieje się to nie tylko ze szkodą publiczności, ale i samejże kasy teatralnej, bo naprzód: większa rozmaitość przedstawień więcej ożywia scenę i więcej widzów zdoła ściągnąć do teatru, powtóre: tylko sztuki silniej oddziaływujące na duszę widza, tylko sztuki, których oddziaływanie nie kończy się z zapadnięciem kurtyny, zdołają silniejszym węzłem powiązać scenę z publicznością i utrzymać w tej ostatniej żywe interesowanie się sceną. Komedye i komedyjki, płytko życie z wierzchu zgartujące, jakich pełno mieliśmy w ostatnich czasach, a nawet farsy, sztucznie nadziane śmiechem, mogą być potrzebne, dobre, pożyteczne, miłe, ale jeżeli nie są przedzielane „głębokiemi wierceniami“ dramatu, powszednieją i przejadają się bardzo prędko.

Żadna z obu sztuk benefisowych nie jest bynajmniej arcydziełem, każda jednak dostarcza znaczną ilość głębszych wzruszeń dramatycznych. W Narcyzie Rameau, który jest jakby Hamletem przebranym za żebraka, podobać się musi zestawienie niedołężnego i nieszczęśliwego sceptyka Narcyza z wszechwładną panią Pompadour. Stosunek ich wzajemny jest wysoce dramatyczny, on to najwięcej zajmuje i wzrusza, on to jest przyczyną, że zajęcie potęguje się w miarę rozwijania się sztuki i że ostatnia scena jest prawdziwym wybuchem tragicznego efektu. Należy dodać, że Narcyzem był sam p. Ładnowski, i że kto tak, jak on, potrafi odwzorować postać Hamleta, dla tego rola Narcyza jest igraszką. A nietylko Narcyz, i rola pani Pompadour także znalazła godną siebie wykonawczynię w osobie pani Nowakowskiej, której talent od czasu do czasu potężnymi błyskami daje znać światu o sobie.

Benefis pani Parżnickiej wyprowadził po raz pierwszy na nasze deski nie nową już sztukę francuską: Jeanne qui rit et Jeanne qui pleure. Tytuł brzmi tak, jak gdyby się pod nim jakaś farsa taiła, tymczasem jest to dramat mocno łzami namoczony, i mogący mieć prawo do nazwy komedyi tylko chyba z powodu niespodziewanie szczęśliwego zakończenia. I śmiech jednej Joanny i płacz drugiej są udane, ale kiedy udawanie śmiechu jest poświęceniem, udawanie smutku jest tylko prostą obłudą; prawdziwie płaczącą Joanną nie jest ta, która płacze, ale ta, która na pozór wydaje się śmiejącą.

Scen efektownych sporo w tej sztuce; przyjemną jest także jej czysta atmosfera, nie zarażona wyziewami paryskiego bruku (rzecz dzieje się w małem miasteczku francuskiem), ale główną bez wątpienia ozdobą sztuki jest postać notaryusza, szlachetnego i dzielnego urzędnika, z wielkim odrysowana wdziękiem przez autora, a z niemniejszym przedstawiona przez p. Fiszera.

Z personalu kobiecego najlepsze siły brały udział w przedstawieniu, a mianowicie panie Aszpergerowa, Nowakowska, Parżnicka i Ładnowska. Beneficyantka występowała w roli śmiejącej się Joanny, to jest w najdramatyczniejszej roli; płaczącą Joanną była pani Nowakowska, której gra i tym razem zasługuje na wszelkie uznanie. *J. T.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Podolanin*. Mieliśmy sposobność przeglądnąć Nr. 9 i 10 pisemka prowincjonalnego wychodzącego w Tarnopolu p. t. *Podolanin* i przedstawiły się nam one korzystniej od wszystkich jakie dotychczas wychodziły w Galicji pism prowincyonalnych, a to głównie z tego względu, że *Podolanin* przeważnie zajmuje się sprawami miejscowemi, czem obudzić powinien zainteresowanie się miejscowej publiczności, przysporzyć w ten sposób oświacie nowych czytelników i stać się interesującym dla czytelników zamiejscowych jako pismo przedstawiające te strony życia narodowego, które w pismach stołecznych dla braku miejsca nie mogą być traktowane wyczerpująco.

Dobrzeby redakcya zrobiła, gdyby urozmaiciła treść swego pisma zamieszczając w fejletonie powieść. Nie potrzebuje to być powieść nowa, owszem a nawet z większą będzie korzyścią przedruk dawnych a dobrych powieści jak np. *Pan Podstoli*, *Przypadki Doświadczyńskiego*, których oddawna w handlu księgarskim nie ma, i które dziś prawie są nieznane, powieści historyczne Bernatowicza, Bronikowskiego, powieści Niemcewicza, Skarbka i wielu innych. Redakcyę *Podolanina* prowadzi pan Kazimierz Drzewiecki.

*** Władysław Sabowski wykończył dwutomową powieść p. t. *Pozory*, którą przeznaczył dla naszego pisma.

*** *Dziennik Polski* rozpoczął druk nowej nowelli Sewera p. t. *Zosia Żurawianka*. To samo pismo podało w fejletonie nowellę Jana Lama *Żona z śniegu*.

*** Wkrótce wyjdzie z druku nakładem Gebethnera i Wolfa w wydaniu ilustrowanem najnowsza praca Wł. Bełzy dla dzieci p. t. *Matka*.

*** Wyszedł kwietniowy zeszyt warszawskiego czasopisma: „Ateneum.“ Treść: 1) Dwie elekcye przez St. Ł (Łagunę); 2) Poezya, muzyka i rysunek przez Henryka Struve; 3) Cztery ogniska cywilizacyi przez Wł. Bogusławskiego; 4) Powódź, powieść Frydryka Spielhagena, w skróceniu opowiedziana przez Wincentę Limanowską; 5) *Wincenty Pol jako poeta — dwa odczyty W. Spasowicza*; 6) Krytyka przez Tadeusza Korzona; 7) Kronika naukowa przez Bronisława Rejchmana; 8) Kronika miesięczna: 9) Ogłoszenia.

*** Jubileusz prof. Kowalewskiego. W tym roku przypada 50letni jubileusz działalności naukowej i profesorskiej prof. historyi powszechnej na uniwersytecie warszawskim i dziekana wydziału historyczno-filologicznego, Józefa Kowalewskiego. Działalność naukowa Kowalewskiego rozpoczyna się właściwie w roku 1823; w tymże roku bowiem Kowalewski, jako młodzieniec 23letni (urod. w r. 1800 w Grodzieńskiem), przełożył i wydał 6 pierwszych ksiąg „Przemian Owidyuszowych“ z komentarzami i został nauczycielem w Wilnie. Nie długo atoli zażywał spokoju młody uczony. Jako uczestnik stowarzyszenia Filomatów i Filaretów denuncyowany i zesłany do Kazania, oddał się nauce języków perskiego, arabskiego i tatarskiego, podróżował po Mongolii a następnie z misyą moskiewską udał się do Pekinu, gdzie przebywał przez 13 miesięcy. Tu Kowalewski występuje na nowo na widownię naukową, w r. 1833 otrzymuje katedrę języka i literatury mongolskiej w Kazaniu, z kolei zostaje rektorem tegoż uniwersytetu. Od r. 1862 Kowalewski przebywa w Warszawie. Powołany przez margrabiego Wielopolskiego do powstającej wówczas szkoły głównej, otrzymał katedrę historyi powszechnej i został dziekanem wydziału historyczno-filologicznego, na której to posadzie pozostał i po przemianowaniu szkoły głównej na uniwersytet. Kowalewski pisał wiele. Najpracowitszem jego dziełem jest „Dictionnaire-mongol-russe-français“, wyszły w dwóch grubych tomach w Kazaniu w r. 1844 do 46. Miał wiele prac w rękopismach. Wszystkie one przepadły w czasie znanej katastrofy z domami hr. Zamojskich, w r. 1863, gdzie uczony mąż wówczas

mieszkał. Kowalewski jest członkiem wielu towarzystw naukowych.

*** O bitwach pod Plewną wyszła w tych dniach w Berlinie bardzo ciekawa książka, napisana przez kapitana pruskiego Von-Trota. Autor robi naprzód krótki przegląd wszystkich operacyi pod Plewną, poczem szczegółowo opisuje potyczki i bitwy, jakie stoczono od 20. lipca do 10. grudnia r. z. Do każdego rozdziału dołączone są krytyczne uwagi o operacyach, odznaczające się spokojem i objektywnością wykładu — w końcu autor robi wywody strategiczne i taktyczne. Kładzie on wielki nacisk na obserwowane w wojnie rosyjsko-tureckiej na wielką skalę okopywanie się polowe i twierdzi, że taktyka ta bezwarunkowo musi być przyjętą przez wszystkie armie. Uważa ją zresztą jako wynik doskonałości broni palnej.

*** Księżyce Marsa, przed rokiem odkryte przez astronoma Halla w Waszyngtonie, otrzymały już nazwę. Na propozycyę astronoma angielskiego p. Madon z Etonu, ten z nich, który jest dalej położony od swego planety, nazwany został Deimus, a drugi Phobus. Nazwy te wzięte są z piętnastej księgi Illiady Homerowej, która opowiada, że bóg wojny Mars, udając się na ziemię, ażeby tam pomścić śmierć swego syna, wziął z sobą jako towarzyszy Deimusa (grozę) i Phobusa (ucieczkę).

*** Prawdziwy zaszczyt przynosi publiczności warszawskiej jej troskliwe a wytrwałe opiekowanie się losem niezamożnej kształcącej się młodzieży. Nie ma prawie numeru pism warszawskich, żeby tej sprawy w nim nie poruszono. Każde zaś odezwanie się o pomoc sprowadza natychmiastowe składki i ofiarność pod tym względem jest nie wyczerpaną. A jest to wzgląd bardzo ważny, jest to głębokie pojęcie korzyści jakie społeczeństwo odnosi z ofiarności na rzecz ubogich uczniów.

Jednym z piękniejszych fantów tej ofiarności jest dar Dra Perlmuttra, który ofiarował 10 tysięcy rubli na kapitał zakładowy pożyczkowy, z którego młodzież kształcąca się korzystać może pożyczając na 6%. Oprócz tego dał 600 rubli na jednorazowe zapomogi dla zupełnie biednych.

Dr. Perlmutter znanym jest w Warszawie ze swej dobroczynności, którą jednak stara się szafować w sposób najpraktyczniejszy. Tak niedawno zakupił kilkadziesiąt maszyn do szycia dla rozdania ubogim dziewczętom szukającym w tym kierunku zarobku.

Nekrologia.

† Umarł w Nicei dnia 5. kwietnia *Leopold Kronenberg*, bankier warszawski, w 66 roku życia. Osobistość to była niepospolita, wiele dobrego robił, wspierał instytucye publiczne dobro mające na celu, zajmował się rodzinami podupadłemi z czasów powstania 1863 r., zajmował się losem nadzwyczaj licznych ofiar prześladowania moskiewskiego. Przed powstaniem i w czasie powstania 1863 odegrywał wpływowe stanowisko. Potęga finansowa, Kronenberg, który oprócz rozumu i umiejętnego kierowania interesem, miał wiele szczęścia we wszystkich swoich operacyach, nigdy nie oddzielał swego interesu od interesu publicznego, nigdy nie zapominał o obowiązkach względem kraju. Pozostanie na zawsze dla naszych finansistów wzorem do naśladowania. Cześć jego pamięci.

† W Paryżu umarł Dr. Seweryn Gałęzowski, emigrant z 1831 r.

ROZMAITOŚCI

*** O następującym sensacyjnym wypadku opowiada *Figaro* paryski. Przed kilkoma dniami elegancko ubrana dziewczyna mogąca liczyć lat 16, przechodziła przez most królewski na Sekwanie, zeszła następnie na ścieżkę nadbrzeżną i rzuciła się w nurty rzeki, w których natychmiast zniknęła. Służący z pobliskich łazienek rzucił się za tonącą i z narażeniem własnego życia zdołał ją szczęśliwie wyratować. Kiedy młoda samobójczyni odzyskała przytomność i stawioną została przed komisarzem okręgu policyjnego p. Berillon, na zapytanie kim jest, wymieniła nazwisko ambasadora jednego z wielkich państw europejskich przy rzeczypospolitej francuskiej. Odprowadzono ją bezzwłocznie do mieszkania rodziców, gdzie babka jej wręczyła wybawcy, jako pierwszy dowód wdzięczności, sumę 500 franków. Młodziutka samobójczyni napisała przed opuszczeniem domu rodzicielskiego list, w którym zawiadomiła rodzinę o zamiarze odebrania sobie życia. Według późniejszych doniesień z Paryża, ma to być córka ambasadora rosyjskiego, księcia Orłowa. Komisarz policyi, kiedy mu wymieniła nazwisko ojca, w pierwszej chwili sądził, że to mistyfikacya, wkrótce jednak przekonał się o prawdziwości zeznań młodej desperatki, która żyje wśród wszelkich zewnętrznych przynajmniej warunków szczęścia, a mimo to tak prędko sprzykrzyła sobie życie.

*** 5.000 franków za nos! W tych dniach sąd apelacyjny w Paryżu rozstrzygał następującą ciekawą sprawę:

Niejaka panna Camburet wystąpiła ze skargą przeciwko towarzystwu omnibusów, żądając 25.000 franków wynagrodzenia za utratę nosa, który postradała w podróży omnibusem, w skutku uderzenia jednego omnibusu o drugi.

Stowarzyszenie omnibusów sadziło się na wszelkiego rodzaju grzeczności względem młodej damy. Adwokat stowarzyszenia, broniąc go, wyraził się, że panna Camburet pomimo wypadku jest tak piękną jak dawniej, że nos jej nic na swej wrodzonej klasyczności nie stracił, że rysy jej nabrały nawet pewnej powagi i wyrazistości itd. Ale na komplementach nic nie wskórano. Sąd apelacyjny w ostatniej instancyi skazał towarzystwo na zapłacenie 5.000 franków powódce.

Teraz już przynajmniej wiadomo, ile wart jest nosek młodej panienki.

Czytelniczki, zwłaszcza mniej posażne, nie powinny zapominać o tem!...

*** „Intryga i miłość“ przed kratkami sądu pokoju w Warszawie.

Przed kilkoma tygodniami młody człowiek pan X. znajdował się na przedstawieniu „Intrygi i miłości“ na galeryi.

Przed nim siedziała nieznana mu pani Y. z młodszą towarzyszką.

Pan X. jako człowiek elegancki (?), uważał za właściwe „zaintrygować“ rozmową samotne kobiety i w tym celu kilkakrotnie do nich przemawiał.

Gdy jednak stale odpowiadano mu milczeniem — wziął się na inny sposób...

Oto głośno, wobec siedzących w pobliżu osób, zaczął przypominać pani Y., jakoby istniejący niegdyś pomiędzy nimi „miłosny“ stosunek, ze szczegółami, które się niezupełnie do druku kwalifikują.

Pani Y., bezbronna, nie mogła na razie przeciwko temu wystąpić, gdy jednak zabierano się do wyjścia, zwróciła się do interwencyi policyanta, a gdy ukazał się jeszcze mąż, oczekujący na nią przy wejściu — akt pierwszy zaimprowizowanej nie przez Szyllera „Intrygi“ skończył się w kancelaryi cyrkułowej.

Akt ostatni rozegrał się przed kratkami sędziego pokoju, który pana X., na zasadzie dostatecznych danych, skazał na półtora miesiąca więzienia.

Szczęściem dla pomysłowego „zabójcy serc“, za zgodą obrażonej, wszystko skończyło się tylko na uroczystem przeproszeniu i skrusze przed kratkami sądu.

*** Autentyczna humoreska. Do jednego z sądów przybyła pewna podupadła hrabianka i zwróciła się do urzędnika z następującem zapytaniem:

— Proszę pana, gdzie to sądzą, jeżeli kto znieważy hrabiankę.

— Sprawy takie proszę pani — odrzekł urzędnik — rozpatruje sędzia pokoju.

— Jak to proszę pana — zawołała oburzona kobieta, chłopa i żyda sądzi Sędzia Pokoju i sprawę o hrabiankę także Sędzia Pokoju.

Ogólny wybuch śmiechu był odpowiedzią. Zdetonowana hrabianka z gniewem opuściła biuro sądowe.

BRZYDKA.

Nowella.

Każdy, komukolwiek zdarzyło się w r. 187.. przechodzić o godzinie trzeciej po południu około ogrodu Tuileryjskiego, od strony ulicy Piramid, mimowolnie zwrócić musiał uwagę na karetę ozdobioną hrabiowską koroną, codziennie o tej samej godzinie zajeżdżającą przed bramę ogrodu. Z karety, oprócz piastunki z małem dziecięciem na ręku, wysiadały dwie osoby: mężczyzna około trzydziestu lat i kobieta znacznie młodsza od niego. On wysokiego wzrostu, przystojny, a nawet piękny w całem tego słowa znaczeniu mężczyzna; ona maleńka, chuderlawa i brzydka o nieregularnych rysach twarzy, których ani młodość ani gustowna toaleta upiększyć i złagodzić nie zdołały.

Patrząc na tak dziwnie niedobraną parę, zdumiony przechodzień mimowolnie zapytywał sam siebie, jakim sposobem i wskutek jakich okoliczności, zarówno biedna jak i pozbawiona wszelkich zewnętrznych powabów guwernantka prywatna, panna Cecylia Berthaut, mogła zostać prawą małżonką hrabiego Roberta de Chatillon? A przecież małżeństwo to było faktem niezaprzeczonym.

Cecylia Berthaut, ukończywszy edukacyę młodej mołdawianki w Jassach, powracała do Francyi na Wiedeń; wskutek uszkodzenia statku parowego, którym płynęła w górę Dunaju, zmuszona była, wraz z innymi podróżnymi, wysiąść w maleńkiej wiosce Rybiczno, w odległości trzydziestu mil po za Belgradem. Przybywszy do jedynej, dość nędznej oberży, zdziwiła się niezmiernie, gdy kilka wyrzeczonych słów, zdradzających jej narodowość, wywarły widocznie na obecnych wrażenie. Zagadkę rozwiązał niebawem sam oberżysta, oświadczając jej ze szczerem ubolewaniem, że od kilku dni przebywa u niego pewien Francuz, ciężko chory, a w tem przykrzejszem będący położeniu, że nie znając ani miejscowego ani niemieckiego języka, nie może się z nikim porozumieć.

Na szczęście, Cecylia Berthaut, o ile brzydką była powierzchownie, o tyle odznaczała się najpiękniejszemi przymiotami umysłu i serca. Bez wahania też i nie namyślając się wcale, kazała się natychmiast zaprowadzić do chorego współrodaka.

Chory ów znajdował się w stanie gorszym daleko, aniżeli przypuszczał nawet sam oberżysta; w Dobrudży, gdzie przebywał czas jakiś w celach naukowych, dostał zgniłej gorączki, a powracając, zmuszony już był, z braku sił, pozostać w Rybicznie. Choroba rozwinęła się ze zwykłą gwałtownością; zaledwo przed dwoma dniami położył się do łóżka, a już wpadł był w stan senny, nie pozostawiający żadnej prawie nadziei wyzdrowienia. Cecylia zastała go w malignie, niezdolnego pojąć zadawanych mu pytań. Głęboko wzruszona tak przerażającem położeniem nieznajomego, zdala od ojczyzny i rodziny, młoda dziewczyna postanowiła poddać się wyrokom opatrzności, która sprowadziła ją do łoża umierającego i osłodzić mu ostatnie chwile życia, jeżeli już nie można było myśleć o ratunku.

Pierwszem staraniem jej było uwiadomić rodzinę chorego; oberzysta doręczył jej paszport młodzieńca, który natychmiast przesłała do ambasadora francuskiego w Wiedniu, z prośbą, aby bezzwłocznie zechciał zakomunikować krewnym hrabiego de Chatillon smutną wiadomość o jego chorobie. Po spełnieniu tego obowiązku, dniem i nocą czuwała nad łożem umierającego, wykonywając bez szemrania miłosierny uczynek, jaki dobrowolnie na siebie przyjęła.

Od dziesięciu już dni Cecylia Berthaut pielęgnowała chorego z tak szczerem i serdecznem współczuciem, że z prawdziwą przykrością usłyszała turkot zajeżdżającej przed oberżę karety i ujrzała wysiadającą z niej poważną damę o siwych włosach, która zamieniwszy kilka słów z oberżystą, pospieszyła na schody. Cecylia przeczuła, że dama ta musi być matką pana de Chatillon i że tem samem misya jej była już skończoną.

Nowo przybyła podeszła wprost do łóżka, ale spostrzegłszy wynędzniałą, schorowaną i obrzmiałą twarz swego dziecka, padła na kolana zalewając się łzami. Chory nie poruszył się nawet. Wtenczas zbliżyła się Cecylia i w krótkich słowach wyjaśniwszy hrabinie, jakim przypadkiem znajduje się przy łożu jej syna, starała się ile możności pocieszyć ją i opisała przebieg całej choroby. Wzruszona tak bezprzykładnem poświęceniem ze strony osoby zupełnie nieznajomej, szlachetna hr. Chatillon wymówiła jej swą wdzięczność z całem wylaniem matki zagrożonej utratą ukochanego jedynaka, najdroższego skarbu swego na ziemi.

Pomimo niekłamanych tych objawów wdzięczności, panna Berthaut uznała za właściwe oświadczyć, iż uważając już obecność tu swoją jako zbyteczną, skoro chory będzie miał zapewnioną najlepszą opiekę, bo opiekę matki, ona puści się w dalszą podróż.

Hrabina stanowczo zaprotestowała przeciw temu projektowi, i z takim zapałem prosiła Cecylię, aby ich nie opuszczała, że chory poruszył się i jakby pojmując o czem była mowa, wyciągnął dłoń wychudzoną i chwyciwszy przypadkowo rękę Cecylii, ścisnął ją konwulsyjnie.

— Widzisz pani — zawołała strapiona matka — że i on rozstać się z tobą nie chce! I dla czegoż byś miała nas opuścić? Czy nie mówiłaś mi pani przed chwilą, że powracasz do Paryża, aby wyszukać sobie miejsce? Miejsce to masz już zapewnione; od tej chwili jesteś moją

damą do towarzystwa, ale co do mnie, przysięgam ci, że uważać cię zawsze będę za drugie moje dziecię.

Trudno było oprzeć się tak uprzejmej i zarazem natarczywej prośbie; Cecylia też nie opierała się wcale, i niebawem przekonała się, jak dobrze uczyniła pozostając, gdyż i pani Chatillon rozchorowała się wskutek zmartwienia chorobą syna i przez co nie jednego, ale dwoje teraz chorych miała do pielęgnowania.

Wzruszająca scena, którą w krótkości tylko opisaliśmy, zbawienny wpływ wywarła na hrabiego de Chatillon, po przejściu kryzys, gorączka ustąpiła, powróciła przytomność i zaczął odzyskiwać cokolwiek zdrowie; wzrok tylko pozostał silnie zaatakowany. W Wiedniu, dokąd udało się Cecylii, po wielu trudach, dowieść dwoje tych biednych istot, pierwsze powagi lekarskie wydały wyrok, że hrabia, dotknięty jest czarną kataraktą i że żadne już środki nie zdołają przywrócić mu wzroku. W kilka miesięcy później, wyrok ten potwierdzili najznakomitsi okuliści w Paryżu.

Hr. de Chatillon przeniósł się wówczas wraz z matką i panną Berthaut do majątku swego w okolicy Nantes. W niespełna rok później, chorowita staruszka zakończyła życie, polecając ukochanego swego syna opiece i troskliwości Cecylii, którą zwykła była nazywać aniołem stróżem rodziny Chatillon.

Straszny ten cios wielki wpływ wywarł na ociemniałego, który dotąd znosił cierpienia swe z niezwykłym stoicyzmem. Posmutniał, widocznie upadł na duchu, był ciągle zamyślony i skłopotany. Cecylia przypisując zmianę tę utracie matki, po długim namyśle, zdecydowała się poruszyć drażliwą kwestyę i przy pierwszej zdarzonej sposobności, zwróciła uwagę hr. Roberta, iż przez samą pamięć zacnej swej matki, powinien pokonać swą boleść i okazać ten sam hart duszy, jakiego dotychczas dawał dowody.

Hrabia nie pozwolił jej dokończyć.

— Nigdy nie przestanę opłakiwać mej matki — odpowiedział — ale w przekonaniu, że z każdym dniem zbliża się chwila mego z nią połączenia, boleść moja łagodnieje pod wpływem tej nadziei. Możesz mi wierzyć Cecylio, że dotknięty w życiu tylu boleśnymi ciosami, umiem zgodzić się ze smutnymi wyrokami przeznaczenia, a nawet błogosławię je, gdyż dały mi one poznać nieocenione skarby twej duszy i serca. Nie przeszłość mnie więc martwi, której zmienić nie podobna, nie teraźniejszość, tak miło i spokojnie upływająca mi pod twoją opieką, ale przyszłość mnie trwoży i niepokoi....

— Czego się pan obawiasz? — zapytała Cecylia.

— Obawiam się utracić tę, która umiała mnie natchnąć owym jak mówisz hartem duszy, a obawiam się nie dla tego, że bez niej stałbym się bezwładną ofiarą mego kalectwa, ale dlatego.... że ją kocham!

Na te słowa, wyrzeczone drżącym i wzruszonym głosem, Cecylia zbladła jak ściana i w pierwszej chwili nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

— Oh! — rzekła wreszcie nieśmiało — Miałżebyś pan zwątpić o mojej przyjaźni? To byłoby bardzo źle z pańskiej strony, panie Robercie!

— Przyjaźni! — zawołał z goryczą hrabia — Widzisz więc sama Cecylio, że niepłonne są moje obawy; ten jeden wyraz przekonywa mnie, iż każdej chwili utracić cię mogę, bo cóż znaczyć może przyjaźń, gdy w sercu twem zagości inne, świetne uczucie?! Nie, nie, Cecylio! przyjaźń twoja nie jest dostateczną dla mnie rękojmią, jeżeli więc szczerze pragniesz, abym odzyskał dawny mój spokój, abym z tem samem poddaniem się znosił ciężkie moje brzemię, abym był wesoły nawet, pomimo iż pozbawiony jestem najważniejszego organu życia, inny połączyć nas winien stosunek, musisz zostać moją żoną.

Cecylia słuchała tych słów w głębokiem milczeniu, jakby ich pojąć nie mogła i z trudnem do określenia wzruszeniem spoglądała w twarz niewidomego.

— Boże mój! — zawołała po chwili — czemuż dwa dni wcześniej nie przybyłam do Rybiczna?

— A to dla czego! — zapytał zdziwiony hrabia.

— Bo gdybyś mnie był pan ujrzał przed nieszczęśliwą utratą wzroku, rysy moje tak przykrem wspomnieniem wbiłyby się w pańską pamięć, że oszczędziłbyś sobie i mnie tego nowego zawodu. Tak, panie Robercie, jestem brzydką, tak brzydką, że pomimo przyjaźni mojej dla pana, którą pan tak mało oceniasz, nigdy nie zgodzę się, abyś pan miał tak niegodną siebie towarzyszkę.

— Przez zbytnią to skromność, chcesz Cecylio w błąd mnie wprowadzić. Nie, tyle anielskiej dobroci i najszlachetniejszych uczuć, nie mogą być pozbawionemi i zewnętrznych powabów; pewien jestem, że obraz ich odbije się w twych oczach, że wdzięczny uśmiech zdobi twe usta, przez które tak sympatyczny i melodyjny głos twój dochodzi do mego serca. Zresztą, cóż obchodzić mnie mogą mniej lub więcej regularne rysy twej twarzy, której niestety nigdy nie ujrzę! Kocham nie powierzchowne wdzięki, ale anielską duszę twoją, podobnej której nie ma drugiej na całym świecie!

Walka ta dwóch szlachetnych istot, toczyła się codziennie prawie przez całe dwa miesiące. Robert z każdym dniem coraz natarczywiej popierał swe żądanie, Cecylia stawiała opór niezłomny, ale jak z każdą fortecą dzieje się zwykle, i w sercu panny Berthaut znalazł się zdrajca, miłość dla biednego, dotkniętego kalectwem młodzieńca, forteca musiała kapitulować, i w ten sposób uboga guwernantka, Cecylia Berthaut została hrabiną de Chatillon.

Dodajemy zaraz, że małżeństwo to, oparte na wzajemnej miłości i szacunku, było ideałem szczęścia małżeńskiego. Państwo de Chatillon, ze względu na jego kaletwo, ograniczyli stosunki swoje ze światem na najbliższych krewnych, a i tak jeszcze najmilej im było przepędzać czas w własnym domu, na pieszczotach z dziecięciem, którem niebo pobłogosławiło ich związek.

Pewnego wieczora znajdowali się w salonie pani de Gleves, kuzynki Roberta, u której zbierać się zwykły liczne znakomitości zagraniczne. Podczas zabawy Cecylia zauważyła, że jakiś niemłody jegomość z dziwnem natręctwem przyglądał się jej mężowi. Zaniepokoiła ją ta niedelikatność, gdy właśnie podeszła ku niej pani de Gleves z owym nieznajomym, przedstawiając go jako dr. Richtera, znakomitego okulistę amerykańskiego, który tysiące już najcudowniejszych wykonać miał operacyi, obecnie zaś, wyłącznie przez miłość dla nauki, pragnie ofiarować swe usługi hrabiemu de Chatillon

Ironiczny uśmiech i nawpół szyderczy ton, z jakim wypowiedziane było to przedstawienie, wiele dały do myślenia Cecylii. Wiedziała ona dobrze, że dumna rodzina hrabiego, obrażona się czuła jego mezaljansem, z łatwością też domyśliła się ukrytego celu dzisiejszej rekomendacyi doktora. Przypuszczano, że skoro hr. Robert odzyska wzrok i przekona się o brzydocie swej żony, odtrąci ją od siebie i postara się unieważnić małżeństwo wśród wyjątkowych zawarte okoliczności.

Myśli te jak błyskawica przesunęły się przez głowę Cecylii, bez najmniejszego przecież wahania i z całą uprzejmością odpowiedziała doktorowi, że skoro tylko mąż jej zechce się zgodzić na nowe próby, ona z największą wdzięcznością przyjmie szlachetną pomoc tak znakomitego lekarza.

— Wierzaj mi pan, panie doktorze — dodała, zapraszając go na dzień następny — że przywracając wzrok memu mężowi, mnie życie pan powrócisz!

Na ustach pani de Gleves tryumfujący zjawił się uśmiech.

Nie łatwo było Cecylii namówić męża do nowej tej próby, po długich przecież prośbach, a głównie zręcznym zarzutem, jakoby nie pragnął ujrzeć swego syna, udało się jej skłonić hr. Roberta, iż pomimo wielokrotnie doznanych już zawodów, zgodził się ten raz jeszcze na poddanie się kuracyi amerykańskiego doktora.

Dr. Richter stawił się punktualnie o oznaczonej godzinie; po dokładnem zbadaniu oczów pacyenta, oświadczył iż teraz na pewno zaręczyć może za skutek wymagający tylko, aby po dokonanej operacyi hrabia przesiedział przez dziesięć dni w zupełnie ciemnym pokoju, unikając wszelkich gwałtowniejszych wzruszeń.

Robert niechętnie poddał się tym przykrym wymaganiom, stracił już bowiem nadzieję, aby mógł być wyleczonym; co do Cecylii, dziewięć te dni, ktore oddzielały ją od stanowczej chwili, były dla niej tem samem, czem dla skazanego na śmierć jest krótka przerwa pomiędzy wyrokiem a jego wykonaniem. Już tylko przez dziewięć dni miała być kochaną!

Dziewiątego dnia doktor zastał ją samą w salonie zalaną łzami i pogrążoną w głębokiej zadumie.

— Widzę — rzekł z uśmiechem — że nie zdołałem zyskać zaufania pani hrabiny. Na szczęście dla mnie, nadeszła chwila w której nie tylko obietnicami stwierdzić mogę prawdę słów moich. Za pięć minut hrabia ujrzy panią tak dobrze, jak ja teraz panią widzę.

Na te słowa, tak dotkliwie drażniące bolesną jej ranę, Cecylia jęk wydała, i większym jeszcze wybuchła płaczem.

— Wybacz pani — rzekł zmięszany doktor — ale nic nie pojmuję....

— Pojmiesz pan — zawołała — skoro mu powiem, że męża mego kocham bez granic, wiem, że i on mnie kocha również, ale spojrzyj pan na mnie i powiedz sam, czy hrabia de Chatillon, zobaczywszy jak jestem brzydką, będzie mógł i nadal mnie kochać?

Amerykanin spuścił oczy i nic nie odpowiedział.

— Ach, pani!... — wyrzekł po chwili z wahaniem wierzaj mi, że gdybym mógł był przypuścić, gdybym był wiedział....

— Nie kończ pan! — zawołała oburzona młoda kobieta — bo nie zasłużyłam na podobne podejrzenie. Prosząc pana o wyleczenie mego męża, powiedziałam, że przywrócenie mu wzroku, mnie życie powrócisz; dziś, bądź pan przekonany, że gdyby dla uzdrowienia go potrzebną była ofiara mego życia i przyszłego zbawienia nawet, padłabym do nóg swoich, doktorze, zaklinając cię w imię najświętszych uczuć ludzkości: ocal go, panie, ocal!

Doktor widocznie był wzruszony, uspokajał ją przez chwilę, a potem pod wrażeniem nagłej myśli, wpadł do sąsiedniego pokoju, przyniósł ztamtąd kołyskę z uśpionem dziecięciem i oddalił się powtórnie.

W kilka minut, ukazał się znowu w salonie, prowadząc za rękę pana de Chatillon, mającego przepaskę na oczach, kiedy już byli w środku pokoju, zatrzymał hrabiego i nagle zerwał mu chustkę z oczu.

Nastała chwila strasznego niepokoju. Robert olśniony, chwiejący się, spostrzegł kołyskę.

— Mój syn! — zawołał z uniesieniem — Nie umrę więc, nie ujrzawszy mojego syna!... Ależ gdzie Cecylia? gdzie Cecylia moja? — powtórzył drżącym głosem.

Zamiast odpowiedzi usłyszał głośne łkanie. Biedna kobieta klęczała w głębi salonu zasłaniając rękami twarz swoją.

— Cecylio najdroższa! i ciebie pragnę zobaczyć — mówił dalej nachylając się ku żonie.

— Nie, nie, Robercie, błagam cię, nie patrz na mnie! Ja cię nie chciałam oszukiwać... ostrzegałam cię, że jestem brzydka!...

— Brzydka! cóż znowu! — zawołał z uczuciem Robert de Chatillon — albożmatka mojego syna może być brzydką!?...

I odsuwając jej ręce, okrył pocałunkami zarumienione lica swej żony, podczas gdy doktor głośnym kaszlem usiłował skryć swoje wzruszenie, i odpędzić łzę natrętną, która mogła skompromitować zimną krew Jankesa.

G. de Cherville.

Od Redakcyi.

Pan S. A. w Stanisławowie. Przedpłata na *medal* J. I. Kraszewskiego wynosi 3 zlr. Na *Złote myśli* egz. nieoprawny 1.50, oprawny 2.30. Na *Wybór pism* tom 1 zlr. (dla prenumerujących Tyg. Illstr. 72 ct.), oprawy po 72 ct.

Na stempel i opakowanie dołączyć należy 10 centów. Przedpłatę przyjmuje „Księgarnia Polska."

Treść Nr. 33.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.